

Bitwa
pod Raszynem

Akcja
"Wisła"

Jak czołgu
szukaliśmy

poszukiwania

Nr 04/2017 (31) kwiecień 2017
www.poszukiwania.pl



**SREBRNY SKARB
Z RABSZTYNA**

Redaktor naczelny:

Rafał Kruk
kruku@poszukiwania.pl

Zespół redakcyjny:

Weteryna
Mariusz Bąk
Marek Kulig
Niuniek
Tom
Robert Winkler

Współpraca:

Yedyny
Andrzej Szutowicz

**Zdjęcie na okładce
i zdjęcia w artykułach,
o ile nie zaznaczono inaczej:**

archiwum Portalu
Poszukiwania.pl

Reklama i Marketing:

redakcja@poszukiwania.pl

Redakcja:

redakcja@poszukiwania.pl

**Reprodukcja i przedruk
wyłącznie za zgodą autora.
Gazeta działa na zasadach
dziennikarstwa obywatel-
skiego otwierając swoje łamy
dla każdego autora.**

**Redakcja zastrzega sobie
prawo do redagowania
i skracania dostarczonych
tekstów.**

**Redakcja nie ponosi
odpowiedzialności za
treść reklam i artykułów
sponsorowanych.**

Najnowszy numer magazynu Poszukiwania rozpoczyna cykl opowieści o „dziwnych” poszukiwaniach i odkryciach dokonywanych przez grupę Poszukiwania.pl. Dziwnych dlatego ponieważ efekty tych poszukiwań dalece odbiegały od wstępnych założeń. I tak w tym numerze publikujemy artykuł na temat poszukiwań czołgu. Czołgu, który miał być, pojawiał się w relacjach i opowieściach, niektórzy widzieli nawet jego lufę. Jaki był efekt poszukiwań dowiedzie się z numeru.

*Czekam na Wasze opinie i sugestie.
Piszcie do mnie kruku@poszukiwania.pl*

Rafał Kruk

SPIS TREŚCI

4	Na tropie
9	Jak czołgu szukaliśmy
13	Oficer
16	Machaj
18	Srebrny skarb z Rabsztyna
21	Order, odznaki i odznaczenia wojskowe
23	Kurhany w Puszczy Białowieskiej
26	Zaginiony zamek w Borach Dolnośląskich
29	Nieznane pomieszczenie piramidy w Rapie
31	Biologiczne pochodzenie książąt mazowieckich
33	Życie duchowe dawnych Słowian
36	Weekend w Polsce
39	Sformowanie I Pułku Szwoleżerów-Lansjerów Gwardii
41	Rozpoczęcie Akcji „Wisła”
43	Monety Jana III Sobieskiego 1674 – 1696
48	Bitwa pod Raławicami
51	Bitwa pod Raszynem
53	Amunicja strzelecka. Rumunia
55	Bitwa pod Warką
57	Zdobycie twierdzy Dorpat
60	Fundusz Obrony Narodowej
62	Wybuch powstania w getcie warszawskim
70	Hołd Pruski
76	Rozstrzelanie pierwszych polskich oficerów w Katyniu
78	Konfederacja targowicka
82	Podpisanie Konstytucji Kwietniowej
87	Utworzenie Ligii Narodowej

Na tropie



Było to w 1986 lub 1987 roku. Chodziłem ze swym pierwszym wykrywaczem - " lisem" w okolicach Gowarczowa. Trafiło się trochę łusek, a to puszką po masce, no i dużo złomu żelaznego, gdyż mój wykrywacz nie posiadał dyskryminacji. Mimo wszystko grzebałem sobie po polach i łąkach. Przy kolejnym z dołków usłyszałem za plecami zbliżające się kroki.

" A co ty tu, min szukasz?"- spytał jegomość w czapce uszance i kufajce. Jego różowe policzki i fioletowy nos podpowiedziały mi, że gość za kołnierz nie wylewa.

- Nie, min to tu nie ma, szukam sobie takich rzeczy z wojny. Może ma pan jakieś hełmy, albo bagnety ?

- Hihi, tutaj to już nic nie ma, a na co ci to ?

- A tak zbieram, kolekcjonuję

- Kiedyś miałem trochę tych gratów, ale na co mi to. Jeździli za złomem to oddałem, ale jakbyś chciał, to ci powiem, że tu jest gdzieś czołg utopiony w bagnie.

Pewnie zaraz powie, że tygrys, lecz co najmniej pantera – pomyślałem.

- A co to za czołg ?
- Nie wiem. Ja się nie znam. Chyba niemiecki. Wiele razy trafiały do mnie informacje o zatopionych lub zasypanych czołgach. Jak do tej pory żadna z informacji nigdy się nie potwierdziła. Dlatego i tym razem bardzo sceptycznie podszedłem do tej rewelacji. Zadałem więc jedno zasadnicze pytanie:
- A czy widział pan na własne oczy ten czołg ?
- Nie. Tylko słyszałem, ale jest na pewno.



Minęło kilka lat od tego spotkania. Czasami zaglądałem w okolice Gowarczowa, ale pamiętałem cały czas o tej rozmowie z „fioletowym nosem”. W 1992 roku, a więc 6 lat później po raz drugi usłyszałem o zatopionym czołgu w okolicach Gowarczowa. Mianowicie dwóch młodych chłopców odbywających praktyki w mojej firmie, wiedząc, że interesuje się "wykopkami" opowiedzieli mi historię o utopionym w bagnie czołgu. Byli oni mieszkańcami dwóch różnych wiosek w pobliżu Gowarczowa. Dziwne było, że umiejscawiali ten czołg w tym samym rejonie, o którym wspominał mi "fioletowy dziadek". I znów zapytałem czy widzieli osobiście to miejsce? Okazało się, że nie widzieli, ale słyszeli od dziadków itd. Tym razem także, nie poszedłem za tropem, żeby sprawdzić prawdziwość tych doniesień. Minęło następnych 7 lat, był rok 1999. Niedaleko Gowarczowa we wsi Borowiec wykonując swoją pracę wykopałem na terenie prywatnej posesji : hełm, manierkę i bagnet. Wszystko niemieckie. Starszy pan dla którego wykonywałem usługę powiedział, że było tego tutaj bardzo wiele, że on pamięta jak wycofywali się wtedy Niemcy w styczniu 1945 roku, jak

zostawiali ciężko rannych żołnierzy w domach i stodołach, których później zabili Rosjanie. Pamięta osobowy samochód w rzece, postrzelany przez radziecki samolot, z którego po wojnie wymontował dużo przydatnych części. Pokazał mi wiele ciekawych fantów z tamtego okresu i od słowa do słowa rozgadaliśmy się na tematy znalezisk, historii i zdarzeń ze stycznia 1945 roku. W pewnym momencie, starszy pan mówi:

- A tu niedaleko to i czołg jest utopiony w bagnach.

Zapaliła się u mnie czerwona lampka sygnalizacyjna przywołująca poprzednie dwie podobne relacje dotyczące być może tego samego pojazdu. Poprosiłem, aby bardziej szczegółowo opisał historię tego zatopionego czołgu. No i zadałem standardowe pytanie:

- A czy widział go pan na własne oczy ?
- No to jak pana widzę – odpowiedział. Serce zaczęło mi gwałtownie bić. Pomyślałem, że wreszcie legenda może okazać się prawdą.
- A czy pokaże mi pan to miejsce ?
- Oczywiście. Tylko musimy pojechać tam samochodem, bo to jest aż na końcu Skrzyszowa.



Zostawiłem chłopaków, aby dalej robili instalację, a z właścicielem pojechalismy obejrzeć to miejsce. Zatrzymaliśmy samochód za ostatnim domem we wsi Skrzyszów. Dalej znajdował się most pod którym przepływała powoli wąska rzeczka. Trzeba było się przedzierać przez dość spory gąszcz wysokiego zielska i podmokły teren. Gdzie postawiłem nogę to zaraz pojawiała się mała kałuża. Starszy pan prowadził wzdłuż rzeki do takiej mini delty. Powiedział, że tu blisko wypływa źródło, które

dopływa do rzeczki, a to jest właśnie jedna z tych odnóg. Powiedział, że nigdy to źródło nie zamarza i Niemcy myśląc, że teren jest zamrznięty wjechali tam czołgiem, który się zatopił. Próbowali go wyciągać, lecz wpadł pod kątem 45 stopni w jakiś potorfowy dół. Dwa inne pojazdy szarpały go linami, podkładali belki, ale nic z tego - ugrzązł na dobre. Dali za wygraną. Wymontowali co się dało z pojazdu i podłożyli ładunek wybuchowy, który rozsadził pojazd na dwie części. I tak sobie leży do dziś. W latach 50-tych były próby wyciągnięcia go przez okolicznych chłopów, ale spełzły na niczym. Jedynie co, to wyzbierali wokół wszystkie części po wybuchu i palnikami odcięli część blach wystających z wody.



Tak rozmawiając doszliśmy do małej piaszczystej łąchy. Wśród bujnej roślinności zauważyłem wystający z wody kawałek metalu. Zafascynowany tym widokiem nie zwracałem uwagi, że stoję już po kostki w wodzie. Pomierzyłem taśmą wszystkie widoczne elementy i naszkicowałem wygląd tych części. Wokół unosił się bagienny opar zbutwiałych części roślin, a komary cięży niemiłosiernie po odkrytych częściach ciała. To co wystawało z bagna nie przypominało narazie nic znanego, jedynie grubości blach (w niektórych miejscach około 10 cm) wskazywały, że może to być pojazd pancerny.

Wróciłem do swoich zajęć jednocześnie obmyślając co z tym fantem zrobić. Minęło jeszcze kilka tygodni zanim podjąłem decyzję o powiadomieniu specjalistów z zakresu niemieckiej broni pancernej. Powiadomiłem Pana Andrzeja L, ówczesnego dyrektora MOB,

który poprosił mnie o pełną dyskrecję w tej sprawie, obawiając się że pojazd mógłby zostać wywieziony. Poprosił o wskazanie miejsca i zapewnił, że zostanę powiadomiony o wynikach badań nad wrakiem.

Minął jakiś czas, w którym MOB uzyskał wszystkie potrzebne zezwolenia, w tym obsługę saperską.

Jest telefon od Pana Andrzeja. Zostałem zaproszony na moment wydobycia pojazdu, który okazał się samobieżną haubicą 105 mm (sturmhaubitze STUH 42), tak naprawdę okazało się, że jest to tylko wanna w dodatku wysadzona. Nie mniej jednak jest to rzadki okaz, i być może uda się odzyskać wiele części od miejscowej ludności, oraz to co zostało odrzucone podczas eksplozji.



Kwiecień 2000 roku.

Jest około 8:00 rano .

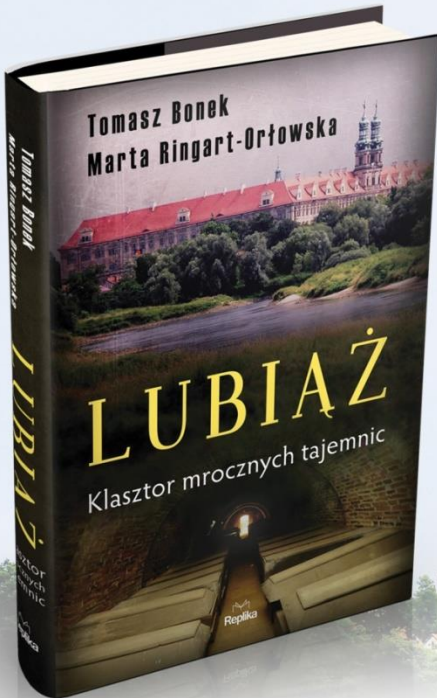
Przy moście w Skrzyszowie mnóstwo samochodów i ludzi ubranych w maskujące uniformy. Czułem się trochę nieswojo, ponieważ znałem tylko kilka osób z tej ekipy – Dyrektora MOBU i ekipę Tomka K, ze Skarżyska-Kamiennej.

Pojazd został obkopany wkoło. Kilka drzew zostało usuniętych, ktoś przymocował linę do pojazdu. Jakies 200 metrów dalej, na prywatnej posesji stał samochód z Zakładu Transportu Energetycznego z Radomia i chwilę później operator włączył bęben nawijający linę.

"ODSUNĄĆ SIĘ!!, PROSZĘ SIĘ SCHOWAĆ ZA DRZEWA!!"- to ludzie z ekipy zabezpieczającej porządkowali teren. Pierwsza próba i trrrrrraach!!!!..., lina obsunęła się po jednym z boków STUHA. Druga próba. Powoli odklejają się resztki pojazdu od bagna. Pojazd sunie po ziemi w stronę wyciągarki. Po drodze nabiera na siebie rośliny tworząc szeroką ścieżkę. Okazało się, że sporo części jest jeszcze w "dołku". Pokazała się też uzbrojona amunicja 105mm. Nikt już nie został w tym miejscu oprócz saperów. STUH został zabrany do Skarżyskiego Muzeum, gdzie stoi wśród innych niemieckich pojazdów. W ciągu tych wszystkich lat uzupełniono sporo braków w pojeździe, ale i tak jeszcze sporo brakuje.

Jestem szczęśliwy, że udało mi się po wielu latach trafić na " prawdziwy trop pancernego pojazdu ", oraz to, że mogłem wziąć udział w wydobywaniu STUHA, i poznałem wielu świetnych ludzi - „zapaleńców odkrywania historii „.

Radosław Nowek






Tomasz Bonek
Marta Ringart-Orłowska

LUBIAŹ


Klasztor mrocznych tajemnic

**Zagadki i sekrety z burzliwych
dziejów największego opactwa w Polsce**



  **Replika**
HISTORIA

Tel. 61 868 25 37, handlowy@replika.eu

 **Replika**
www.replika.eu

NOWOŚĆ



Prawdopodobnie najlepszy wykrywacz na rynku!

- Najlepsze parametry i osiągi
- Uniwersalny - do każdego poszukiwań
- Wodoszczelny do 3m
- Konkurencyjna cena



Treasure Master

POLECAMY TAKŻE:



Treasure Pro

ul. Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl

www.viking.waw.pl

NAJWIĘKSZY WYBÓR OD 1998 R.

Jak czołgu szukaliśmy

Co to jest przygoda ? Jak ją przeżyć ? Jak się na nią załapać ? Kiedyś szukali jej młodzi, teraz sięgnęli po nią również Ci mniej młodzi. Czy przygodę można kupić, czy można skorzystać z gotowego przepisu na to jak ją odnaleźć. Otóż moi mili odpowiedź brzmi nie – i to stanowczo nie. Przygoda musi odnaleźć swojego partnera i wciągnąć go w swój wir.



Dla mnie przygoda jak zwykle zaczęła się niespodziewanie. Do mojego niedawnego biura, w którym zarabiałem na życie, wpadł z samego rana znajomy plastik. Po minie wiedziałem, że będzie coś ekstra.

- Panie Rafale, interesuje Pana czołg ??

Spojrzałem na niego uważnie. Czołg przecież zawsze się przyda, czy to do odwiedzin banku, w którym odmówili kredytu, czy też jako środek transportu w momencie gdy prawo jazdy od kilkunastu lat jest nr jeden na liście pilnych spraw do załatwienia na już. Kilku czołgów już szukałem, efekty były różne, śmiało można powiedzieć, że odwrotnie proporcjonalne do zaangażowania.

- Panie Leszku, CHĘTNIE – z nieodłącznym akcentem na przeciągane Ę. Jednak niech Pan powie coś więcej na ten temat. Głównie gdzie i za ile.

Jak to w sprawach, w których pierwszoplanową rolę odgrywa poważny sprzęt, relacja była treściwa. Teren znajomego i rzeczka, w której ma to być. Znajomy akurat zamierza na dniach kopać obok rzeczki staw, więc i tak będzie rył koparką teren – zaczyna za dwa dni. Po wyjściu Pana Leszka wykonałem kilka telefonów do znajomych aby poinformować ich jaki to temat będziemy robili w weekend.

Dwa dni minęły szybko. W umówiony ranek dotarliśmy na wskazane miejsce. Pierwszą niespodzianką była rzeczka z relacji. Na miejscu okazała się całkiem poważną rzeką – szeroką, jak i głęboką. Drugą była ilość wędkarzy okupujących wytrwale brzegi rzeki. Wyciągany z aut sprzęt w mgnieniu oka ściągnął do nas prawie wszystkich wędkarzy, którzy po przyjeździe sprawiali wrażenie ospałych i zrezygnowanych ignorancją ryb na ich podchody. Oczywiście korzystając z okazji dopytaliśmy o interesujący nas fragment rzeki. Pozytywne było to, że wędkarze potwierdzali istnienie w wodzie czegoś większego.

Uruchomiliśmy sprzęt i po kilku minutach mieliśmy wytypowane miejsca na brzegu, które pokrywały się ze wskazaniem z wody.

Łopaty poszły w ruch, kopaliśmy na zmianę więc szybko dotarliśmy do poziomu wody. Niestety ze znalezisk mogliśmy pochwalić się jedynie konserwami. Wróciliśmy ponownie do sprzętu i rozpoczęliśmy dokładne namierzanie „tego czegoś” w wodzie. Po niedługim czasie udało się nam zlokalizować dokładne miejsce w rzece

Ryzykując kąpiel najodważniejszy z grupy, a zarazem najchudszy wychylając się z brzegu zahaczył w wodzie o coś łopata. Z powodu koloru wody, która w tym czasie była czarna, nie mogliśmy dojrzeć co tam siedzi.

Wróciliśmy do domów i pewnie do lata zapomnielibyśmy o czołgu. Jednak już po kilku dniach w drzwiach biura pojawił się Pan Leszek.

- Panie Rafale, a gdyby tak przy kopaniu stawy sprawdzić to miejsce na brzegu ? I może też szuflę z koparki zagarnąć w wodzie, tam gdzie mieliście sygnał ?

Nie skorzystać z takiej propozycji to grzech. Zgodziłem się podając Panu Leszkowi ponownie dokładne namiary na miejsce gdzie należało zanurzyć szuflę.

Po dwóch dniach znów zawitał u mnie plastik, tym razem z najnowszymi wiadomościami. W miejscu gdzie odkryliśmy konserwy okazało się, że lata temu ktoś zorganizował sobie wysypisko śmieci. Ot, normalna sytuacja na polskiej wsi. Natomiast w wodzie koparka na coś

natrafiła.

Tutaj powinienem zakończyć i odesłać do kolejnego odcinka. Dla własnej wygody i przed nawałem pytań w mailach dokonczę jednak opowieść o przygodach „czołgu w rzece”. Koparka pracująca z brzegu delikatnie zanurzyła szuflę w wodzie. Powoli przesuwając ją natrafiła na opór. Na szczęście dla koparki opór nie był duży i po chwili to coś zaczęło się stopniowo wynurzać.

Wyobraźcie sobie zdziwienie wszystkich wokół gdy z oczekiwanego czołgu zrobiła się ¼ samochodu. Tak, tak – ¼ samochodu. Równie podzielonego i dokładnie przyciętego. Niestety nie udało się ustalić jakiej to marki był pojazd. Na koniec zagadka. Po jaką cholerę ktoś taszczył nad rzekę ¼ auta??

Jak więc widzicie przygoda może być różna. Dla nas przygodą było uczestnictwo w odnalezieniu „czołgu w wodzie”, dla wędkarzy ta sama przygoda przybrała inne barwy i z pewnością między sobą, jak i w domach temat poszukiwaczy czołgu będzie długo żywy. Podobnie dla operatora koparki mającego wyciągnąć z wody jakiś skarb.

Nie szukajcie jej na siłę, wystarczy wybrać się z Grupą Poszukiwania.pl na wyprawę aby smak przygody zmienił Wasze ułożone życie, w pełne pozytywne szaleństwo hobby.

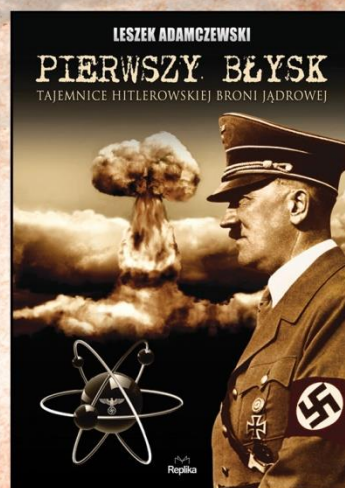
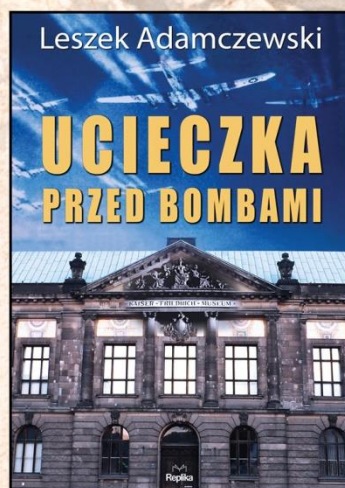
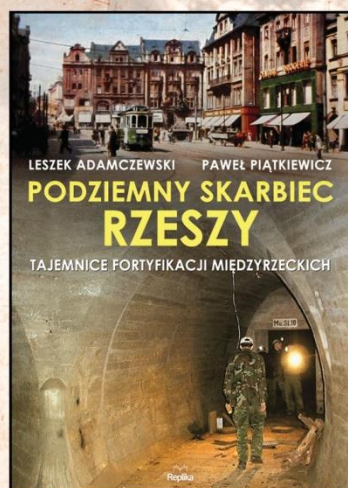
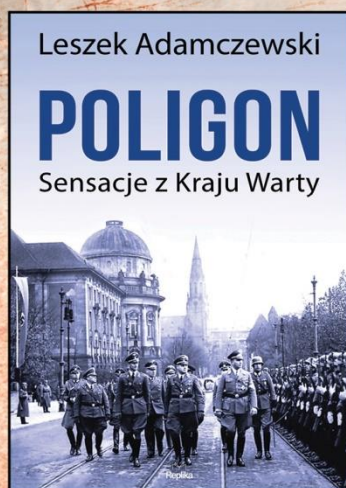
**XII EDYCJA
D-DAY HEL
21-27.08.2017**



SKARBY, ZAGADKI, MROCZNE TAJEMNICE HISTORII



WKRÓTCE



Oficer



To jak się umawiamy? - zapytał Dominik. No jak zwykle, wpadam po ciebie o 5 i jedziemy w wyznaczone miejsce -odpowiedziałem. Dominik zamyślił się chwilę, pewnie zrozumiał jak głupie pytanie zadał i jak oczywista była na nie odpowiedź.

Wróciłem do domu o godz. 23 byłem już zmęczony, cały dzień spędziłem nad mapami, szkicami i starymi fotografiami, ale w końcu jesteśmy pewni! "lochy" bo tak nazywali to miejsce miejscowi istnieją. Ile musieliśmy wysłuchać opowieści, przekazów, niejednokrotnie wykluczających się nawzajem aby odkryć, że tak naprawdę to podziemny kompleks, który Niemcy tak ukryli aż sami o nim zapomnieli... Nie mogłem się doczekać następnego dnia w głowie już miałem obraz skarbów jakie tam odnajdziemy, może dobrze zachowany eksponat broni, umundurowania ... wiele miałem opcji co mogą kryć takie tajne podziemia.

4.30 - pobudka zapakowałem do auta swój wykrywacz, saperkę i dużą łopatę, kilka kanapek, coś do picia i ruszyłem. Po 5 minutach już trąbiłem pod blokiem Dominika, zaświeciło się u niego i u kilku innych lokatorów. Jeden nawet "ciepło mnie przywitał" - gdyby wiedział jak jestem podekscytowany faktem odkrycia czegoś co nie widziało światła dziennego od 60 lat pewnie by mnie zrozumiał.

- Cześć, cześć stary. Co ty robisz, chcesz żeby mnie z bloku eksmitowali ? - powitał mnie Dominik.

- Wiem, trochę przesadziłem ale już mnie nosi na samą myśl co tam znajdziemy. Znajdziemy albo i nie wiesz jak starsi ludzie lubią przesadzać no i czas robi swoje - sprowadził mnie na ziemię Dominik. Następne 3 godziny podróży zeszło nam na wymyślaniu co tam znajdziemy i jak głęboko to może być.

Jesteśmy na miejscu, zaparkuj obok kościoła, będzie łatwiej ze sprzętem i tak jest naszym punktem orientacyjnym.

- Ok - odpowiedziałem i tak zrobiłem. Sprzęt wypakowany ! Poczekaj, ze wspomnień Franciszka wynika, że gdy był ministrantem i służył do mszy to widział Niemców przez okno z zakrystii... kościół nie był przebudowywany czyli to będzie dokładnie tu - pokazałem palcem na gęsty las.

- Tak - odpowiedział Dominik i zarzuciwszy plecaki ruszyliśmy w stronę stromej góry, która majestatycznie wznosiła się od północnej strony kościółka.

Las rósł na zboczu, buki gęsto, a zarazem równo rosnące jak w szeregu, jeden za drugim. Była jesień więc liście, które opadły stwarzały złudzenie, iż idziemy po miękkim materacu - przed nami jakieś 30 minut marszu. Za plecami pozostawiamy wioskę i mały kościółek, który z każdym krokiem staje się mniejszy. Po około 26 minutach drogi las nagle się przerzedza i w szeregu drzew robi się wyrwa, 40 na 100 m, rosną tu drzewa ale młodsze od tych dookoła. To tu - krzyknął Dominik. Szybko wyjąłem zdjęcie, które zdobyliśmy od "magazyniera AK". Tak nazywano ludzi, mających za zadanie ukryć i przechować broń oddziałów Armii Krajowej. Zgadza się, na zdjęciu zrobionym jesienią '43 roku jest to samo miejsce, na którym stoimy! Szybko zabraliśmy się za podział terenu na sektory. Odpalamy wykrywacze, zaczęliśmy z dwóch przeciwnych stron. Powoli ruszam, krocze za kroczkiem omiatając teren, nic, a ja tak bardzo chce usłyszeć sygnał. U Dominika też nic, to dobrze chciałbym pierwszy coś znaleźć, on pewnie myślał tak samo.

Piiiiiiiiiiiiiiiiiiii! Rozległ się donośny sygnał oznaczający sukces, niestety u mojego towarzysza poszukiwań.

- Chodź tu! - krzyknął.

Podbiegłem.

- To coś dużego ?

- Chyba tak !

Odgarnęliśmy liście, ściółkę, saperka Dominika powoli zanurzyła się w ziemi, delikatnie obkopał miejsce gdzie jego wykrywacz przemówił. Naszym oczom zaczął się ukazywać ... reflektor. Nie było to spełnienie marzeń ale dało nam do myślenia. Niemiecki reflektor w środku lasu ? Z podwójną werwą zaczęliśmy przeszukiwać teren, znaleźliśmy kilka łopat, jeden bagnet i puszkę po konserwie "paprykarz szczeciński".

Po 6 godzinach jałowego szukania mieliśmy dość, pozostały do przeszukania dwa kwadraty, na które wcześniej podzieliliśmy teren. Bez entuzjazmu, który towarzyszył nam rano zabraliśmy się za nie. Nagle mój sprzęt zaczął szaleć. Dominik popatrzył na mnie i w tym momencie jego wykrywacz też zawył i zgasł...!

- Co jest ?

- Nie wiem, jakby coś zakłócało jego pracę.

- U mnie to samo - odpowiedziałem.



Popatrzyliśmy na siebie z niedowierzaniem i zaczęliśmy kopać. Na głębokości 1,6 m napotkaliśmy na betonową konstrukcję, przypuszczaliśmy, że jest to strop bunkra, powoli zaczęliśmy czyścić całość, jest i właz.

Właz był okrągły, podobny do dzisiejszych włazów kanałowych, podważyliśmy go łopatą, puścił, zajrzałem do środka, a tam egipskie ciemności.

- Podaj latarkę stary - krzyknąłem.

Na ścianie niemieckie napisy, korytarz.

- Wchodzimy? - zapytałem.

- Pewnie - odpowiedział Dominik.



Opuściliśmy się na rękach na dół, cisza i ciemności, poczułem adrenalinę albo strach, jak zwał tak zwał. Ruszyliśmy do przodu, światło latarki pozwalało nam widzieć jedynie wycinek budowli. Betonowa, solidna konstrukcja, a w niej stalowe drzwi. Dominik chwyta za ogromny skobel, pociąga, otwierają się robiąc rumor niosący się po całej budowli. Powoli wchodzimy, czuć stęchliznę i grzyba, który wcześniej od nas odkrył to miejsce. Światło latarki kierujemy na podłogę aby widzieć gdzie stawiamy nogi, ukazuje się nam krzesło. Powoli przesuwam latarkę ku górze, ktoś tu siedzi.

- O KU...! - zaklął Dominik - Niemiec !!

Niemiecki żołnierz. Przy biurku siedział z głową opartą o blat, jakby spał. Niemiecki oficer z dziurą w czaszce i pistoletem w prawej dłoni - samobójstwo pomyślałem - jego ciało się z mumifikowało, pewnie warunki w podziemnej budowli temu sprzyjały. Dominik podszedł do biurka.

- Popatrz - powiedział - tu jest depesza, którą jako ostatnią odczytał.

Ze skromnych zasobów niemieckiego, które obaj posiadamy odczytaliśmy: "Wojna przegrana Hitler nie żyje". Obaj uznaliśmy, że ten podziemny bunkier jest jak grobowiec tego niemieckiego oficera, nie sprawdzaliśmy więcej pomieszczeń. Wyszliśmy, zasypaliśmy go na nowo i nigdy nikomu nie zdradzimy miejsca gdzie się znajduje. "Niemiecki oficer pełni w nim służbę nadal "

ARTUR BOBOWSKI



Machaj

Kelnerka nie jest zbyt doświadczona, niepewnie rozstawia kieliszki z wódką i szklanki z mineralną na blacie stołu. Ale przynajmniej jest bardzo ładna i cztery pary oczu bacznie ją obserwują, gdy odchodzi od stolika. Sięgnęliśmy po kieliszki. Milcząc. Nikt jeszcze nie powiedział ani słowa, poza Laborem, który zamówił pierwszą kolejkę. Nie patrzyliśmy też na siebie nawzajem. Obracałem w palcach kieliszek, już pusty. Kuba sięgnął po szklankę z mineralną, śmieszne, ale pierwszy raz w życiu pijemy w aż tak kulturalnych warunkach. Białe koszule, krawaty, ciemne garnitury, nawet paznokcie wyczyszczone. Zazwyczaj wypijaliśmy wódkę lub kilka piw na skraju zagajnika, ubrani w spodnie i kurtki z kamuflażem, z oblepionymi błotem butami i dłońmi wysmarowanymi ziemią. Ale dzisiaj jest dzień wyjątkowy, dzisiaj pochowaliśmy Machaja. Prosto z cmentarza poszliśmy do najbliższej knajpy. Daję znak kelnerce, po chwili przynosi następną serię kieliszków.

To co, za Machaja?... tak jak lubił-zdrowie konia!

Zaszurgotały odsuwane krzesła, na twarzy kelnerki odmalowało się wielkie zdziwienie, gdy ujrzała nas podnoszących lewe nogi i opierających stopy o blat stołu, imitując wkładanie ich w strzemiona. Podnieśliśmy kieliszki.

Szable w dłoń! Zdrowie konia!

Tak podobno pili przed wojną szwoleżerowie, przynajmniej Machaj tak twierdził. Każdą wolną chwilę spędzał w lasach pod Molkierzą, gdzie w 1939 nasz pułk szwoleżerów na trzy dni zatrzymał niemiecką dywizję pancerną. Machaj

chodził z wykrywaczem po krzakach i mokradłach, szukał zapadniętych okopów i lejów po pociskach. Wykopywał łuski, odłamki pocisków, guziki, sprzączki, orzelki, ostrogi i podkowy. Czytał pamiętniki uczestników bitwy, na wielkich arkuszach kalki kreślił plany poszczególnych rewirów leśnych, nanosił miejsca, gdzie znajdował większe skupiska łusek, różnokolorowymi punktami oznaczał ważniejsze znaleziska, jak szable czy lornetki. Wkrótce był w stanie wskazać stanowiska prawie każdego karabinu maszynowego czy armatki przeciwpancernej, punktu dowodzenia, drogi odwrotu poszczególnych szwadronów.

A wiecie, w zeszłym tygodniu byłem pod Osiekiem, chodzę sobie po lesie i nagle sygnał... siedem kresek na wyświetlaczu, sygnał mocny, moneta jak nic. Zaczynam kopać, nie ma nic, no to znów za wykrywacz, nie ma nic, ale jest sygnał o dwadzieścia centymetrów dalej, kopię, znów nic, no to idę z wykrywaczem za sygnałem, a on się przesuwają, normalnie przesuwają, bardzo powoli, ale normalnie idzie, jakby w ziemi, po kawałku, powoli, ale idzie..., no to ja szybko za łopatkę i kopię, i wiecie co? Taka jakby wielka dżdżownica, tak jak Machaj opowiadał, rozciąłem ją łopatką, a w środku boratynka. Pierwszy raz w życiu widziałem, żeby dżdżownica połknęła monetę...

Kuba, daj spokój... Tobie też odbija? Zamów jeszcze kolejkę, a nie pierdol...

Machajowi rzeczywiście ostatnio jakby coś się stało. Opowiadał o jakiś wielkich dżdżownicach albo larwach, o gigantycznych kretowinach, które pokryły lasy pod Molkierzą, przysyłał nam smsy i maile, nawet ze zdjęciami, ale myśleliśmy na początku, że sobie żarty z nas stroi. Wypożyczał z biblioteki już nie książki o wojnie

i kawalerii, ale coś z biologii, a nawet o UFO. Do mnie, w ostatnim mailu przed śmiercią, pisał o jakiejś chorobie czy zarazie, co zabija żaby, jaszczurki i krety.

Uważajcie, chłopaki... Nie mogę powiedzieć wszystkiego..., ale napijmy się..., jak któryś piśnie słowo, że to ja, to ma przejebane..., znaleźli komórkę Machaja, przejrżeli kompa, będą was przesłuchiwać, może nawet zrobią rewizję. To poważna sprawa, śmierć człowieka, niby od niewypału, ale nie znaleźli żadnego śladu, ale to wygląda jeszcze gorzej, jakby Machaj miał czysty ładunek wybuchowy, wiecie - mafia, terroryzm i te rzeczy...

Bebut to mój przyjaciel, jeszcze od podstawówki, teraz policjant, ale tyle razy z nami chodził po lesie, że chyba można mu ufać. Przełknąłem wódkę.

Bebut, przecież wiesz, Machaj by nigdy nie tknął żadnego świństwa, żadnej urwiłapki, nawet naboje od Ur-35 tylko fotografował, do domu nie znosił ani zapalników, ani niewypałów.

Ale znaleźli go rozerwanego na strzępy, nic ci to nie mówi...

Bebut, zlituj się, nie jesteś na komisariacie!

Ja wam tylko mówię, jak ktoś ma coś trefnego w domu, niech wypieprzy do lasu, nie do śmietnika!

Daj spokój, to niemożliwe, Machaj nigdy by nie ruszył żadnej bomby czy miny, nawet jakby wykopał, to zaraz by was zawiadomił!

No to co go zabiło...?

Przecież ci, Bebut, nie powiem, bo sam nie wiem. Ale to na pewno nie był niewypał, to zupełnie do niego niepodobne. Czwarty czy piąty kieliszek? Teraz chyba kolej na mnie..., ale nie, Bebut płaci za kolejkę i od razu zamawia następną. Wyciągam z kieszeni pogięty papier.

Posłuchajcie, to ostatnia wiadomość od Machaja, przysłał mi maila na dwa dni przed wypadkiem – „nie wiem, co to jest – chyba jakieś bakterie albo coś podobnego, moim zdaniem to jakoś się tym

zarażają zwierzęta, to chyba fermentuje, widziałem rozdarte myszy, krety, ropuchy, nawet lisy: najpierw puchną, robią się coraz grubsze, a potem wybuchają...”

To taka przypadłość chyba może też spotkać posła Ryszarda Kalisza – zażartował Kuba, widać wódka zaczęła już działać.

Przestań, ... dokończę: ”...zastanawiam się nawet nad tym, co wydaje się prawie niemożliwe, że to coś bardzo dziwnego, jakby w tym lesie żyły organizmy z obcej planety, których w ogóle nie interesuje nasz świat, żyją jakby poza naszym wymiarem, my ich w ogóle nie interesujemy, siedzą pod ziemią i otaczający ich świat dzieli się tylko na rzeczy, które nadają się do jedzenia, nadają się do seksu i kamienie. Bo zauważyłem, że kamieni nie ruszają, ani nie połykają, ani nie przyklejają się do nich...”

To niby jak, kosmiczne glizdy opanowały las pod Molkierzą, jedzą ziemię jak dżdżownice, pieprzą się między sobą i ze wszystkim co żyje, a jak taka glizda przeleci ropuchę albo kreta, to zwierzak puchnie i wybuchu? - zarechotał Labor. Pozostali też się uśmiechnęli.

I jeszcze udało im się zgwałcić Machaja i dlatego wybuchł – rzucił Kuba śmiejąc się na całego. Wódka rzeczywiście zaczęła działać. Nikt poza nim się nawet nie uśmiechnął, a Bebut strzelił go w pysk. Runął z krzesła na ziemię, przy okazji stłukły się dwa kieliszki. Odciągnęliśmy ich od siebie, kelnerka wyprosiła nas z knajpy.

Wracałem do domu na piechotę, żeby trochę przetrzeźwieć. Koło parku wdepnąłem w coś śliskiego i przewróciłem się. Przyjrzałem się dokładnie, na chodniku rozwleczone było jakieś świństwo, jakby flaki, a pomiędzy nimi walały się żabie nóżki. To chyba ktoś wcześniej ją rozdeptał. Doszedłem do domu, już koło furtki usłyszałem dziwny szelest, w mocnym świetle ulicznej latarni wydawało mi się, że trawnik koło garażu porusza się, jakby coś dużego drążyło korytarz pod ziemią. Chyba stanowczo za dużo wypilem...

Jerzy Roś

Srebrny skarb z Rabsztyna



Skarb znaleziono kilka lat temu w Rabsztynie, odkrycia dokonała przypadkowa osoba, która zawiadomiła mnie jako kustosa muzeum w Olkuszu. Udało się, dzięki pomocy i zaangażowaniu kilku osób, zebrać około 200 średniowiecznych srebrnych monet. Skarb był rozproszony na obszarze kilku metrów kwadratowych, prawdopodobnie został naruszony już wcześniej przez jakieś prace ziemne lub naturalne osuwanie się ziemi, zresztą zapewne ukryty był bezpośrednio w ziemi bez żadnego opakowania w rodzaju sakiewki czy naczynia glinianego. Wydaje się, że pochodzi XV wieku, większość monet, jakie udało się do tej pory oczyścić i określić to denary koronne Władysława Warneńczyka. Są to drobne monety,

bez napisów czy dat, stąd pewna trudność w określeniu ich typów, zawierają tylko rysunek korony po jednej, a orła po drugiej stronie. Dlatego przynajmniej kilka dni trzeba poczekać na dokładne określenie ich liczby, bowiem część monet jest ze sobą zlepią w niekształtne bryłki i moczą się w tej chwili w roztworze amoniaku, aby można było je rozdzielić oraz odczytać ich rysunek i porównać z tabelami chronologicznymi. Jeżeli jednak potwierdzi się, że skarb pochodzi z lat 1434-1444, a więc panowania Władysława Warneńczyka, to jego historia może być bardzo romantyczna.

Zamek w Rabsztynie należał wtedy formalnie do młodej i pięknej Jadwigi Melsztyńskiej, którą po

przedwczesnej śmierci jej ojca Jana, opiekował się stryj Spytko z Melsztyna. O jej rękę (bo panna była nie tylko młoda i piękna, ale i bogata) starało się wielu przedstawicieli najbogatszych rodów ówczesnej Polski. Jej oficjalnym narzeczonym był bratanek samego biskupa Zbigniewa Oleśnickiego, człowieka, który właściwie rządził krajem, bo król Władysław miał zaledwie 10 lat, kiedy objął rządy, a 20 kiedy zginął pod Warną w bitwie z Turkami. Jadwigę porwał i zmusił do małżeństwa zuchwały rabuś i banita Jan Krzyżanowski. Porwanie odbyło się zapewne za zgodą panny, bo Krzyżanowskiego znała już wcześniej.

Sam zamek w Rabsztynie wtedy właśnie, w 1439 roku, był oblegany przez wojska królewskie, bowiem Spytko z Melsztyna, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli – zaangażował się w działalność opozycyjną. Popierał on bowiem powstańców husyckich, którzy na terenie Czech i Śląska walczyli z dominacją kościoła katolickiego i popierającymi go książętami niemieckimi i śląskimi. Spytko próbował religijne i społeczne idee husytyzmu z Czech przenieść do Polski i poparła go bardzo liczna grupa rycerstwa. Przede wszystkim chodziło o dziesięcinę czyli podatek pobierany od produkcji rolnej przez Kościół oraz majątki zakonne i biskupie, które szlachta miała ochotę podzielić między siebie. Na pograniczu śląsko-polskim, chronionym przez zamki systemu obronnego „orlich gniazd”, do których należał też Rabsztyn, dochodziło do licznych walk i napadów. To wtedy właśnie napadnięto na klasztor w Częstochowie i porąbano mieczami obraz Matki Boskiej, skąd pochodzą dwie blizny widoczne do dzisiaj na obliczu Czarnej Madonny. Dokonał tego jeden z Polaków w służbie husyckiej Dobko Puchała, który na pewno musiał kontaktować się z innymi zwolennikami husytyzmu po polskiej stronie, zwłaszcza z takimi, w których rękach znajdowały się pograniczne zamki. Sam Spytko zginął w 1439 roku, po nieudanym napadzie na radę królewską, która obradowała pod przewodnictwem znienawidzonego przez niego biskupa Zbigniewa Oleśnickiego.

Kolejna osoba, której nazwisko, które może być

związane z rabsztyńskim skarbem to Mikołaj Kornicz Siostrzeniec. Ten także był zwolennikiem husytyzmu, pełniąc funkcję burgrabi na również pogranicznym zamku w Będzinie zasłynął takimi działaniami, że w 1434 roku został skazany przez sąd królewski za zdradę i fałszowanie dokumentów koronnych oraz wiele napadów i rabunków, między innymi spustoszył Sławków i okolice, które były dobrami biskupa krakowskiego. Jednak już w 1436 roku tenże Mikołaj Siostrzeniec wspomniany jest jako burgrabia zamku rabsztyńskiego, mianowany na to stanowisko przez Spytkę z Melsztyna.

Prawdopodobnie burzliwe wydarzenia polityczne, w które wplątani byli właściciele ówczesnego Rabsztyna: napady, oblężenia, bitwy skłoniły któregoś z nich lub osobę pozostającą na ich służbie do ukrycia swojego majątku w postaci skarbu, na który właśnie natrafiliśmy.

Skarb ten jest wielką okazją do przeprowadzenia akcji promocyjnej zamku w Rabsztynie, przy nagłośnieniu znaleziska w mediach wielu turystów chce zobaczyć miejsce jego odkrycia, czasami licząc nawet na łut szczęścia, że gdzieś się tam jakaś monetka jednak zapadła. Teraz akurat bym na to nie liczył, bo współpracowało ze mną podczas wydobywania skarbu środowisko tzw. „detektorowców”, którzy zazwyczaj są utrapieniem dla archeologów, ale tym razem bardzo mi pomogli. Dzięki zastosowaniu wykrywaczy metali udało się dokładnie przeszukać dostępny teren, za co im serdecznie dziękuję. Zamierzam zwrócić się do władz Olkusza, zwłaszcza do miejskiego konserwatora zabytków i Miejskiego Ośrodka kultury z propozycją wspólnej akcji promocyjnej skarbu i zamku w Rabsztynie, naszego muzeum nie stać na konserwację, właściwe wyeksponowanie znaleziska, przeprowadzenie koniecznych regularnych badań archeologicznych w miejscu jego odkrycia, myślę także o wydaniu folderu promocyjnego oraz o publikacji książki prezentującej pełny inwentarz skarbu.

Jerzy Roś



Wakacje z Historią
to połączenie wypoczynku,
eksploracji oraz wolontariatu,
a wszystko to w cieniu historii,
ciekawych miejsc i tajemnic.

Na VI edycję zapraszamy Was
do Gozdowice (woj. zachodniopomorskie),
gdzie 1 Armia Wojska Polskiego forsowała Odrę wiosną 1945r.



W okolicy zwiedzamy m.in.: komandorię Templariuszy,
miejskie mury obronne oraz miejsce średniowiecznej bitwy.

Wśród atrakcji ponadto:
Mistrzostwa w eksploracji Wakacji z Historią,
gry, zabawy, konkursy oraz loteria z cennymi
nagrodami dla aktywnych wolontariuszy.



Informacji udzielają:
Witek, tel: 602-688-672
Radek, tel: 603-664-176



archtech



ODKRYWCA

Ordery, odznaki i odznaczenia

Litwa



Litwa. Order Gedymina II klasy, wymiary 69 x 63 mm, rzadki wariant wykonania

Prusy



Prusy. Oznaka młodszego urzędnika sądowego Królestwa Prus, około 1850 roku, Av.: Herb Królestwa Prus, napis: KOENIGL. PREUSSISCHE JUSTIZ UNTERBEAMTE, alpaka, śr 80,00 mm, rzadka

Francja



Francja. Orzeł francuski wzór 1812, fizyliera 2 Pułku Piechoty Liniowej, tłoczona blacha mosiężna, wymiary: 142,11 x 117,85 mm, pułk brał udział w kampanii rosyjskiej Napoleona

Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.

www.pgnum.pl



Kurhany w Puszczy Białowieskiej



Kilkadziesiąt kurhanów sprzed 1,5 tys. lat, zarysy dawnych pól uprawnych, a nawet grodzisko - to część odkryć dokonanych przez naukowców na terenie Puszczy Białowieskiej. Znaleźiska stały się możliwe dzięki zastosowaniu lotniczego skanowania laserowego.

Badacze z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego (IA UKSW) w Warszawie skupili się zarówno na badaniu powierzchni Białowieskiego Parku Narodowego, jak i terenu przylegającego do niego od północnego zachodu. W większości jest to

przestrzeń porośnięta lasem, a więc trudna dla typowego rozpoznania przez archeologów.

"Odkryliśmy między innymi duże skupisko kurhanów wstępnie datowanych na okres wpływów rzymskich (między I a V w.),

grodzisko, ślady pól uprawnych oraz liczne kopce, z których część stanowiły pozostałości działalności przemysłowej na terenie puszczy, m.in. smolarnie i mielerze" - opowiada PAP Roman Szlázak, doktorant z IA UKSW w Warszawie. Mielerz to stos drewna przykryty gliną, ziemią lub darnią, ułożony w kształcie kopuły. W wyniku spalenia drewna w takich warunkach, czyli z małym, kontrolowanym dostępem powietrza, powstawał węgiel drzewny.



Znalezisk dokonano głównie dzięki zastosowaniu lotniczego skanowania laserowego (ALS). Potencjalne miejsca po dawnej działalności człowieka archeolodzy zazwyczaj typują na podstawie znajdowanych na powierzchni ziemi (często pól uprawnych) fragmentów pradziejowych naczyń ceramicznych czy narzędzi kamiennych. Jednak obszar pokryty drzewami i przykryty ściółką utrudnia stwierdzenie, czy kiedyś był zamieszkany. Rozwiązaniem jest ALS, które umożliwia wykrycie obiektów takich, jak np. kurhany czy grodziska - nawet, gdy znajdują się one w lesie. Oprócz danych z ALS naukowcy wykorzystali mapy historyczne i geologiczne.

"Ze względu na zaostrzone przepisy ochrony dziedzictwa przyrodniczego na terenie Białowieskiego Parku Narodowego oraz przylegających do niego rezerwatów nie możemy tam prowadzić wykopalisk. Wytypowane dzięki ALS miejsca wizytowaliśmy w terenie. Po oględzinach byliśmy w stanie ustalić ich wstępną funkcję i chronologię" - dodaje główny koordynator projektu, dr Joanna Wawrzeniuk z IA UKSW.

Naukowcy wykorzystali też w niektórych miejscach georadar GPR. To metoda geofizyczna oparta na emitowaniu fal elektromagnetycznych o krótkich częstotliwościach. "Zastosowaliśmy jedno z najnowocześniejszych urządzeń dostępnych na rynku" - dodaje Szlázak.

Archeolodzy zwracają szczególną uwagę na odkrycie skupiska składającego się z 25 kurhanów. Położone jest ono w północnej części Białowieskiego Parku Narodowego. Zdaniem badaczy wzniesli je przedstawiciele społeczności kultury wielbarskiej, którą archeolodzy kojarzą z ludem Gotów.

Kilka z kurhanów znajduje się na przecięciu podwyższonych pasów ziemnych, prawdopodobnie miedz lub dróg rozdzielających pradawne pola orne - informują odkrywcy. Aby uszczegółowić czas powstania odkrytych konstrukcji, zdaniem badaczy konieczne jest przeprowadzenie odwiertów lub sondaży.

Drugim miejscem, wartym - zdaniem odkrywców - szczególnej uwagi, jest grodzisko nad rzeką Orłówką, znalezione przez pracowników IA UKSW już w 2015 roku. Jednak dopiero w tym roku archeolodzy potwierdzili w terenie jego chronologię.



Grodzisko na planie okręgu o średnicy około 30 metrów jest otoczone niewielkim wałem o średnicy 3 metrów, sięgającym obecnie do wysokości pół metra. W obrębie konstrukcji archeolodzy znaleźli w tym roku fragmenty naczyń ceramicznych i narzędzi krzemiennych. Na ich podstawie ustalili, że teren wokół niej był

zamieszkały już od pradziejów. Najmłodsze odnalezione zabytki pochodzą z okresu późnego średniowiecza, czyli z czasów przypuszczalnego istnienia grodu.

Jak wyjaśniają naukowcy, twierdzą założono w strategicznym miejscu na wzniesieniu otoczonym bagnami, przylegającym do północnego brzegu rzeki. Prawdopodobnie pełniła funkcję strażniczą.

W promieniu pół kilometra od grodziska naukowcy odkryli ślady dawnych pól, pozostałości grobli oraz kopce - ich wiek nie jest jeszcze znany.

"Konfrontacja przeprowadzonych przez nasz zespół badań z wykresami palinologicznymi (pyłkowymi - przyp. PAP) wykonanymi przez Instytut Biologii Ssaków Polskiej Akademii Nauk pozwala nam wstępnie stwierdzić, że objęty badaniami teren puszczy był sporadycznie zasiedlany przez człowieka" - podsumowuje dr Wawrzyniuk.

Naukowcy dopiero rozpoczęli swoje badania, które potrwać w sumie trzy lata. Prace sfinansowane są ze środków Narodowego Centrum Nauki w ramach projektu "Dziedzictwo kulturowe i przyrodnicze Puszczy Białowieskiej", kierowanego przez prof. Przemysława Urbańczyka z IA UKSW.

Szymon Zdziebłowski (PAP)

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.



Zaginiony zamek w Borach Dolnośląskich

Na terenie Borów Dolnośląskich archeolodzy znaleźli pozostałości zamku, należącego do piastowskiego księcia Bolka II Małego (zm. w 1368 r.) - ostatniego niezależnego księcia piastowskiego władającego na Śląsku.



Ruiny znajdują się w opustoszałej po 1945 wsi Nowoszów (Neuhuas) na pograniczu woj. lubuskiego i dolnośląskiego.

"Odkryty przez nas zamek znany był do tej pory tylko ze średniowiecznych dokumentów. Stało

się tak dlatego, że obszar, na którym znajdują się jego pozostałości, położony jest na terenie poligonu wykorzystywanego aż do lat 90. ubiegłego wieku" - powiedział PAP dr Paweł Konczewski z Katedry Antropologii Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.

Badania są pierwszym kompleksowym projektem naukowym dotyczącym przeszłości tego miejsca.

Zamek nie był zbyt okazałą konstrukcją. Na podstawie odkrytych fragmentów Konczewski przypuszcza, że była to pojedyncza wieża wzniesiona na planie prostokąta. Jej fundament wykonano z rudy darniowej. Nadbudowa składała się częściowo z charakterystycznych cegieł-palcówek - ich nazwa pochodzi od śladów po odciskach rzemieślników, którzy usuwali nadmiar gliny w czasie wyrabiania cegieł.

Do tej pory nikt nie skojarzył jednak widocznych w terenie pozostałości murów - ze średniowiecznym zamkiem, gdyż z czasem nad ruinami nadbudowano kolejną konstrukcję. Identyfikację umożliwiła dopiero przeprowadzona niedawno analiza architektoniczna.

Jak wyjaśnia Konczewski, właściciel zamku - Bolko II Mały - był jednym z bardziej utalentowanych książąt z rodu Piastów Śląskich. Udało się mu zjednoczyć księstwo świdnickie i jaworskie. Był też margrabią Dolnych Łużyc. Tymczasem w okresie jego panowania, czyli w połowie XIV w., Śląsk był bardzo rozdrobniony i składał się z wielu małych księstw. Bolko II był ostatnim niezależnym księciem piastowskim władającym na Śląsku.

"To właśnie ekspansja terytorialna przyczyniła się do tego, że władca ten zdecydował się na budowę nowych zamków lub rozbudowę starszych twierdz" - opowiada archeolog.

Zamek, który archeolodzy odkryli w obrębie uroczyska Nowoszów, czyli osady opuszczonej w 1945 r., powstał jako element trasy łączącej obszerne włości księcia. Położony jest na wyspie na rzece Czarna Wielka.

"Bolko II kazał wytyczyć nowy trakt - po to, aby zaoszczędzić czas i przejąć inicjatywę w handlu. Na jego trasie stanął zamek, wokół którego z czasem powstała osada. Jej mieszkańcy trudnili się hutnictwem żelaza, którego bogate złoża znajdowały się w okolicy" - dodaje naukowiec.

"W lokalizacji zamku pomocne okazało się skanowanie laserowe wykonane z pokładu samolotu" - opowiada badacz. Technologia umożliwia zajrzenie pod szatę roślinną i wykrycie form terenowych lub architektury.



Obecnie archeolodzy badają średniowieczną wieś hutników. Do tej pory natrafili na kilka miejsc, z których pozyskiwano rudę - znajdowała się płytko pod powierzchnią ziemi, dlatego wydobywano ją w sposób odkrywkowy. Odkryli też obszerne hałdy żużla pohutniczego. "Do tej pory nie udało się zlokalizować pieców" - dodaje Konczewski.

Zamek - w przeciwieństwie do osady - istniał zaledwie kilka lat. Po śmierci Bolka II mieszczanie z pobliskiego Zgorzelca rozpuścili plotkę, zgodnie z którą zamek w Neuhaus przejęli rozbójnicy. Mieli oni grasować na kupców podążających traktem wytyczonym przez księcia.

Jak opowiada archeolog, zrobili to, ponieważ kupcy korzystający z nowego szlaku handlowego omijali Zgorzelec. Tym samym zgorzelczanie tracili dochody na cłach przewozowych. Pacyfikację zamku przeprowadzili na mocy przywileju nadanego im przez cesarza Karola IV do niszczenia gniazd rozbójniczych i karania rozbójników.

Archeolodzy wciąż pracują w terenie. Czekają na wykonanie badań geofizycznych, które pomogą zebrać więcej informacji na temat zamku i jego infrastruktury oraz kształtu średniowiecznej osady.

"Wszystkie dotychczasowe wnioski udało się nam wyciągnąć bez prowadzenia wykopalisk. Badany przez nas obszar jest szczególnie chroniony ze względów przyrodniczych. Jak widać łopata nie zawsze jest niezbędna do dokonania odkryć" - zaznacza naukowiec.

Badania są realizowane przez fundację "Łużyce wczoraj i dziś" we współpracy z Katedrą Antropologii Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu oraz Uniwersytetem Zachodniopolskim z Pilzna i Lasami Państwowymi.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.



Nieznane pomieszczenie Piramidy w Rapie



Pod mającą ponad dwieście lat piramidą w Rapie (woj. warmińsko-mazurskie) może się znajdować nieznane pomieszczenie - wynika m.in. z badań georadarowych. O nowych ustaleniach naukowcy poinformowali w środę na Uniwersytecie Warszawskim.

Zabytek to kwadratowa w planie kaplica grobowa, zwieńczona piramidą o wysokości 13 metrów. Naukowcy nie wykluczają, że pierwotnie konstrukcja być pełniła rolę lodowni (chłodni), a nie grobowca.

Ogłoszenie nowych ustaleń na temat unikatowego mazurskiego zabytku odbyło się podczas konferencji "Nauka w służbie ratowania

zabytków - Piramida w Rapie, Nadleśnictwo Czerwony Dwór". W czasie obrad podsumowano trwające dwa lata badania archeologiczne, historyczne i architektoniczne.

Specjaliści z firmy Wydział Poszukiwań Specjalnych odkryli dwie anomalie - jedną pod wejściem do piramidy. "Jest to prawdopodobnie zagruzowanie związane z budową lub dawnym

remontem konstrukcji" - komentuje dla PAP naukowiec zaangażowany w badanie zabytku Janusz Janowski z Instytutu Archeologii UW.

Druga anomalia jest dla badaczy bardziej obiecująca. Rozciąga się od wejścia do piramidy aż do ściany wewnętrznej na przeciwko. "Być może pod podłogą skrywa się nieznane pomieszczenie, które obecnie jest częściowo zasypane" - uważa Marta Bura z Instytutu Archeologii UW, która jest jednym z inicjatorów badań w obrębie piramidy.

Do tej pory sądzono, że piramida w Rapie powstała pod koniec XVIII wieku jako mauzoleum dla członków rodu von Fahrenheid - przedstawicieli wschodniopruskiej szlachty, której majątek był zlokalizowany nieopodal. W wyniku niedawnych analiz dr Jerzy Marek Łapo z Muzeum Kultury Ludowej w Węgorzewie postawił nową tezę: piramida była zaprojektowana jako lodownia - budowla do przechowywania lodu wykorzystywanego do celów kuchennych. Dopiero później zarządcy majątku zmienili funkcję konstrukcji na miejsce wiecznego spoczynku szlacheckiej rodziny.

Swoje przypuszczenie naukowiec podpira przykładami z zachodniej Europy - podobne konstrukcje, o bardzo zbliżonym kształcie, powstały w francuskim Chambourcy i niemieckim Poczdamie. Druga z piramid - lodowni posiadała piwnicę, co pozwala sądzić, że anomalia odkryta przez badaczy z firmy Wydział Poszukiwań Specjalnych wewnątrz konstrukcji to świadectwo istnienia podziemnych struktur również w Rapie.

"Na ten moment trudno ustalić jednoznacznie, co skrywa się pod podłogą. Zamierzamy wprowadzić pod nią kamerę inspekcyjną, żeby sprawdzić nasze przypuszczenia" - wyjaśnia PAP Janowski.

Piramidzie w Rapie grozi zawalenie - jej stan jest bardzo zły. Szeroko zakrojony projekt badawczy miał zwrócić uwagę na ten problem.



"W tej chwili nie można już mówić o konserwacji tego zabytku, tylko o jego ratowaniu" - powiedział we wrześniu ub. r. PAP sekretarz Nadleśnictwa Czerwony Dwór, Tomasz Łaskowski, na którego terenie znajduje się zabytek. Oszacowano, że na ten cel potrzeba ok. 1 mln złotych.

Na ratunek piramidzie naukowcy ruszyli w 2015 r., kiedy sprawdzono stan zachowania konstrukcji i wykonano jej trójwymiarowe skanowanie. Kolejne działania miały miejsce w 2016 r. Udało się oczyścić kanały wentylacyjne i zabezpieczyć grożący zawaleniem strop piramidy.

Jak poinformował PAP Łaskowski, Lasy Państwowe czekają teraz na decyzję ws. przyznania środków na remont i prace konserwatorskie piramidy przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Ma zostać wydana do końca maja br.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Biologiczne pochodzenie książąt mazowieckich



Szczecińscy genetycy zbadali szczątki książąt mazowieckich Janusza i Stanisława, którzy żyli na początku XVI w. Naukowcy ustalili, że jeden z przedstawicieli rodu Piastów posiada haplogrupę chromosomu Y, charakterystyczną dla Germanów lub Celtów.

"Z zębów oraz fragmentu kości udowej księcia Janusza udało się wyizolować DNA i ustalić haplogrupę chromosomu Y jako grupę R1b, potocznie nazywaną celtycką lub atlantycką" - powiedział w rozmowie z PAP dr Andrzej Ossowski z Zakładu Genetyki Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie.

Jak wyjaśnił genetyk, haplogrupy są to cechy charakterystyczne dla ludzi pochodzących z

określonego regionu. „Na podstawie ustalania haplotypu DNA mitochondrialnego i DNA męskiego - czyli Y - jesteśmy w stanie określić z dużym prawdopodobieństwem, z jakiej części Europy dana osoba może pochodzić” - dodał.

Ossowski zaznaczył, że odkryta grupa R1b „jest charakterystyczna dla Europy Zachodniej, gdzie występuje z częstotliwością nawet 80 proc.”. „Jednocześnie jest ona nietypowa dla populacji z

Europy Wschodniej, gdzie występuje z częstotliwością do 10 proc.” - powiedział.

Haplogrupę R1b mieli przedstawiciele najbardziej znanych rodów władających przez wieki Europą m.in. Wettyni, Burbonowie i Habsburgowie czy dynastia Stuartów.

„Odkrycie to może wskazywać na pochodzenie całego rodu Piastów. Należy jednak pamiętać, że jest to pierwsze badanie. Od Piastów do książąt mazowieckich minęło wiele czasu i mogły zaistnieć mechanizmy znane w naturze, które wpłynęły na zaburzenie dziedziczenia cech” - podkreślił dr Ossowski.

„Wyniki przeprowadzonych badań nie przesądzają o narodowości, bo ta jest silnie związana z kulturą i tradycją, w której dana osoba żyła; nie mylmy więc kwestii biologicznych z ustalaniem narodowości” - powiedział w rozmowie z PAP koordynator badań dr hab. Tomasz Kozłowski, antropolog z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. „Uproszczenie, że Piastowie byli Niemcami czy Brytyjczykami, jest absolutnie nie na miejscu” - zaznaczył.

„Prowadzone analizy były szczególne, gdyż znacznie rzadziej bada się chromosom Y – determinujący płeć męską. Dzieje się tak z prostego powodu – w szczątkach sprzed wielu setek lat jest niezwykle mało takiego materiału DNA” - wyjaśnił dr Kozłowski.

Według antropologa „nie można wykluczyć przerwania linii Piastów od czasów Mieszka I do okresu, w którym żyli książęta mazowieccy”.

„Nie sugeruję niewierności małżeńskiej w żadnym pokoleniu, ale trzeba wziąć taką

ewentualność pod uwagę. Dlatego tak ważna będzie dla nas możliwość kolejnych badań. Potwierdzenie obecnych ustaleń w trakcie analizy innych szczątków przedstawicieli rodu Piastów pozwoliłoby wyciągnąć wnioski z większym prawdopodobieństwem” - dodał. Podkreślił, że ustalenie haplogrupy przez szczecińskich naukowców uważa za spore osiągnięcie.

Naukowcy zapowiadają przeprowadzenie kolejnych badań, mających na celu uzyskanie materiału genetycznego od innych osób spokrewnionych z rodem Piastów. Szczecińscy genetycy liczą, że będą mieli okazję rozpocząć badania dotyczące pochodzenie rodu Gryfitów.

Szczątki książąt mazowieckich były badane w latach 50. XX wieku przez zespół prof. Wiktora Grzywo-Dąbrowskiego. Toruńscy naukowcy postanowili ponownie otworzyć miejsca ich pochówku w Bazylice Archikatedralnej św. Jana Chrzciciela w Warszawie - tłumacząc, że obecnie dysponują lepszym zapleczem technicznym do badań.

Genetycy z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie wykonali badania w ramach interdyscyplinarnego projektu badawczego „Kultura funeralna elit Rzeczypospolitej od XVI do XVIII wieku na terenie Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego”. Jest on prowadzony przez prof. Annę Drążkowską z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. (PAP)

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Życie duchowe dawnych Słowian



Nie jest prawdą, że Słowianie przed nastaniem chrześcijaństwa modlili się tylko w świętych gajach. Wiemy np., że wznosili ziemskie "domy" dla bogów, i że ich wiara przenikała się z wieloma sferami życia. O tym, w co i jak mogli wierzyć dawni Słowianie, opowiada PAP etnolog i archeolog dr Paweł Szczepanik.

Ponieważ wcześni Słowianie byli ludem niepiśmiennym, nie posiadamy zwanego opisu ich dziejów czy wierzeń. Nie byli też grupą jednolitą: w momencie największej ekspansji Słowianie zasiedlali obszar sięgający na wschodzie niemal do podnóża gór Ural, po Łabę

na zachodzie, i po Morze Śródziemne na południu.

Trudnili się głównie rolnictwem. "Dlatego w ich panteonie dominującą rolę - niezależnie od miejsca zamieszkania - zajmowały bóstwa związane z płodnością i cyklicznością. Co ciekawe, były to bardzo często jednocześnie bóstwa patronujące działaniom wojennym" - opowiada naukowiec współpracujący z Instytutem Archeologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika (UMK) w Toruniu - dr Paweł Szczepanik. Takim bogiem był na przykład Świątowit, przedstawiany w postaci rosnącego posągu z czterema głowami.

Choć słowiańskie świątynie wciąż stanowią zagadkę, to jednak naukowcy wyróżnili kilka ich typów.

"Nie jest prawdą, że Słowianie modlili się tylko w świętych gajach, chociaż wygląda na to, że odprawianie modłów na łonie przyrody było jedną z najczęstszych form czczenia bogów" - mówi Szczepanik.

Z uwagi na to, że w gajach nie stawiano prawdopodobnie żadnych posągów czy budowli, archeolodzy nie są w stanie zlokalizować dziś takich miejsc.



Mają jednak pomysły, jak szukać tropów. "Święte gaje były ogradzane lub wydzielone rowem - jego funkcja była nie tyle praktyczna, co przede wszystkim symboliczna" - zauważa badacz. I dodaje, że wewnątrz tak wydzielonego obszaru nie było żadnych zabudowań. "Mówimy o takim zjawisku jako o +sakralności pustki+" - dodaje.

Czy i gdzie na terenie Polski mogły się takie miejsca znajdować? Być może na przykład na górze Ślęża, gdzie badacze natrafili na enigmatyczne mury okalające wierzchołek.

Etnolog dodaje, że przedstawiciele słowiańskich elit spotykali się w dużych budowlach wykonanych z drewna - wyraźnie większych, niż typowe budynki mieszkalne. Nie były to jednak

miejsca, których jedynym przeznaczeniem były modły - tam odbywały się kluczowe narady i spotkania dotyczące losów grupy.

"Należy podkreślić, że sfera sacrum nie była oddzielona od życia codziennego, jak współcześnie. Wiara nie polegała na wyjściu do świątyni raz w tygodniu i odklepaniu formułek, tylko przenikała się z wieloma sferami życia - różnymi aspektami władztwa czy sądownictwem" - zauważa.

Słowianie wznosili jeszcze jeden rodzaj świątyni - ziemskie domy dla bogów. Były to budynki kryjące "ich" posągi, ale też łoża, siodła, skarbcze i inne atrybuty, a wstęp do wnętrza był surowo zakazany. Nawet kapłani, którzy od czasu do czasu czyścili wnętrza takich świątyni, zobowiązani byli do zachowania zgodnie z określonymi regułami. Na przykład we wnętrzu takiego "domu boga" nie mogli oddychać, dlatego wszelkie prace wykonywali na wdechu.

W tym kontekście zagadkę dla naukowców stanowi przypuszczalne miejsce przedchrześcijańskiego kultu znajdujące się w Gnieźnie, częściowo pod kościołem św. Jerzego. Archeolodzy odkryli tam kamienny kopiec, w którego sąsiedztwie leżały przepalone kości, węgle, zniszczone naczynia ceramiczne.

"Z dużym prawdopodobieństwem jest to miejsce ofiarne. Podobne kopce znamy również z opisów wczesnośredniowiecznego Szczecina i czeskiej Pragi" - zauważa naukowiec.

Tego, że w Gnieźnie znajdowało się ważne miejsce kultu sprzed nastania chrześcijaństwa, domyślamy się przede wszystkim na podstawie doniesień, zapisanych przez XV-wiecznego kronikarza Jana Długosza. Miano czcić tam Nyję - to bóstwo identyfikowane z Plutonym, suwerenem świata zmarłych i jednocześnie bóstwem bogactwa.

O sile oddziaływania dawnych wierzeń świadczy też między innymi relacja znajdująca się w dekreście papieża Innocentego III z dnia 8 stycznia 1207, opisująca chrześcijańskie już modły w katedrze gnieźnieńskiej - mówi Szczepanik. Kapłani mieli założone maski i odprawiali obrzędy ku czci zmarłych. W tekście

tym znajdziemy również informację, że ówczesne duchowieństwo nie przestrzegało celibatu. Jak zauważa naukowiec, w tej swoistej formie ludi theatrales brali udział zarówno duchowni, jak i miejscowa ludność, która również miała ubrane maski.

Czy ludność przedchrześcijańska na terenie Polski wyznawała religię w takim sensie, w jakim dzisiaj ją rozumiemy: jako oddzielną i w zasadzie autonomiczną sferę życia? W ocenie dr. Szczepanika było inaczej.

"Ówcześni ludzie żyli +zatopieni+ w swoich wierzeniach, a wszystkie sfery codzienności przenikały się z religią" - tłumaczy. Jako przykład naukowiec podaje wyrób glinianych garnków. Słowo "naczynie" pochodzi od prasłowiańskiego słowa činiti – 'czynić, robić, czarować', co pozwala stwierdzić naukowcom, że pierwotnie na-czynie – 'to coś uczynionego, zaczarowanego'. Fragmenty naczyń ceramicznych należą do najpowszechniejszych zabytków archeologicznych znajdujących na terenie Polski.

"Zatem nawet proste czynności, takie jak wytwarzanie przedmiotów codziennego użytku, było w pewien sposób rytuałem wpisanym w życie" - stwierdza badacz.

Także mity były powszechne w życiu. Nie były traktowane jako mitologia w dzisiejszym rozumieniu, czyli fantastycznych opowieści. Mity były dostępne, namacalne, a pojawiające się w nich postaci - osiągalne niemal na wyciągnięcie ręki, żyjąc w bezpośrednim sąsiedztwie świata ludzi - zauważa dr Szczepanik.

Skąd to wszystko wiemy? Naukowiec podkreśla, że informacje na temat wierzeń Słowian przed nastaniem chrześcijaństwa na terenie Polski dosłownie nikną w mroku dziejów. Próby ich rekonstrukcji umożliwia między innymi lektura tekstów na temat obszarów ościennych, choć

najczęściej dotyczą późniejszych czasów. Zdaniem naukowca pomocna może być również analiza zabytków odkrywanych w czasie wykopalisk.

Przed nastaniem chrześcijaństwa Słowianie nie posługiwali się żadnymi formami pisma, co dodatkowo utrudnia wgląd w ich wierzenia. Co gorsza, wiele późniejszych doniesień na ten temat spisali chrześcijanie, którzy dotarli na obszary pogańskie. "Siłą rzeczy te relacje często są bardzo subiektywne - albo wręcz negatywne" - dodaje Szczepanik.

Czasem z zapisanych tekstów przebija jednak podziw - zwraca uwagę rozmówca PAP. Tak było w przypadku świątyni w Szczecinie, której ściany - co wynika z relacji - miały być pokryte płaskorzeźbami i malowidłami, które wyglądały "jak żywe". "Pamiętajmy, że relacje spisywały osoby zazwyczaj z zachodniego kręgu kulturowego, więc nieobca była im zaawansowana monumentalna architektura sakralna. Dlatego podziw nad konstrukcjami pogańskimi jest znamieny" - uważa Szczepanik.

I dodaje, że naukowcy nie są w stanie opisać formy wierzeń i z pełnym przekonaniem wymienić panteonu bóstw w Wielkopolsce, czyli na terenie, gdzie ukształtowała się polska państwowość. Jest tak dlatego, że osoby piszące o ówczesnych Słowianach nie odnoszą się bezpośrednio do plemion żyjących dokładnie na tym terenie, tylko głównie do terenów Pomorza czy Połabia, czyli obszarów przylegających do powstającego państwa Piastów. Skrybowie jednak niezwykle rzadko pisali o ich wierzeniach.

Dr Paweł Szczepanik badał wierzenia Słowian Północno-Zachodnich w ramach przygotowywanego doktoratu. Na ten cel otrzymał dofinansowanie z konkursu Narodowego Centrum Nauki - Etiuda 3

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Weekend w Polsce



„Prawdziwa podróż odkrywczą nie polega na szukaniu nowych lądów, lecz na nowym spojrzeniu” – pisał Marcel Proust. Idąc tym tropem, zachęcamy do nowego spojrzenia na Polskę podczas weekendowych podróży, bo – jak się zaraz okaże – jest naprawdę piękna, tylko często po prostu nieodkryta.

Kinomaniak w podróży

Munk, Morgenstern, Wajda, Kutz – wszystkie drogi polskiego filmu prowadzą do Łodzi. Artyści kadru najchętniej bywali na ulicy Piotrkowskiej, a dowodem na to jest mosiężna Aleja Gwiazd, gdzie dłonie odcisnęli Stanisław Bareja, Roman Polański czy Agnieszka Holland.

Przejście na drugą stronę ekranu jest możliwe także dzięki wyjątkowemu szlakowi, który rozpoczyna się od Cerkwi św. Olgi. Fani „Stawki większej niż życie” zapewne pamiętają schody do świątyni ze sceny śledzenia Basi Reczko przez gestapowca. Dalej wędruje się do Muzeum Sztuki. To właśnie tu bohaterowie „Daleko od szosy” zapoznawali się ze sztuką nowoczesną. Kierując się do Uniwersytetu Łódzkiego, zakochani turyści otrzymują szansę na odtworzenie kolejnego kadru z popularnego polskiego serialu: przed Wydziałem Chemii nakręcono pożegnanie połączonych megaliansem Ani i Leszka.

Ostatnim postojem na spacerze musi być „Ziemia obiecana”, a dokładnie dawna przędzalnia, przed którą ukazano robotników.

Kąśliwym słowem Sztaudyngera, na wspomnianej Piotrkowskiej zmieściła się cała Łódź. Satyryk najwidoczniej pominął kilka innych miejsc, w tym plac Zwycięstwa, do którego goście tłumnie ruszają na spotkanie Poli Negri i Misia Uszatka.

Z historią w tle

Mrozące krew w żyłach historie o mężach minionej epoki opowiedziane głosem Piotra Fronczewskiego? Zwiedzanie nabiera wówczas zupełnie innego wymiaru, a wrażenia potęguje narastająca noc. „Światło i dźwięk” to wyjątkowy spektakl, który rozgrywa się na zamku w Malborku po zachodzie słońca. Jednak z historią można się spotkać także w słoneczne dni, a dokładnie w połowie lipca. Co roku odbywa się wtedy inscenizacja oblężenia Malborka, w której udział biorą setki współczesnych rycerzy. Oczom gapiów nie umkną kuglarze ze swoimi sztuczkami, sokolnicy i aktorzy z teatrów podróжных.

Po mocy wrażeń zmęczone nogi znajdują ukojenie na pokładzie statku sunącego po rzece Nogat. Trasa biegnie aż do Białej Góry, czyli dawnej granicy Gdańska i Niemiec. Niestrudzonym podróżnikom przychodzi z odsieczą również inna pomorska perła – Elbląg. Z przystani statek zabiera chętnych na szlak prowadzący śladami Wikingów.

Malownicze widoki, zabytkowa architektura, fascynujące tajemnice i legendy... To wszystko znaleźć można także na Szlaku Dolnośląskich Zamków i Pałaców. Podróżników zakochanych w historii zainteresują malowniczo położone ruiny kamiennego Zamku Chojnik, które podobno nawiedza duch jeźdźca na koniu – ofiary okrutnej próby legendarnej księżniczki Kunegundy. Rąbka tajemnicy wieków uchyla też Zamek Bolków. W słynnym Zamku Książ nadal można usłyszeć głos księżnej Daisy... Odważni mogą się o tym przekonać podczas nocnego zwiedzania. Atmosferę grozy podtrzymują opowieści przewodników oraz ciemne zakamarki twierdzy, które pod osłoną nocy jawią się jeszcze bardziej przerażająco.

Relaks w stylu retro

W Krynicy-Zdroju, a konkretnie w Starym Domu Zdrojowym, można się poczuć jak kuracjusze sprzed lat. Budynek w stylu neorenesansowym posiada najpiękniejszą w południowej Polsce salę balową. Klimatu dopełniają wydarzenia okolicznościowe, np. Złot Zabytkowych Mercedesów. Uśmiech z pewnością wywoła przejażdżka retro meleksem, podczas której poznaje się aż trzydzieści ciekawych miejsc w okolicy.

Zimna woda zdrowia doda – a przekonać o tym mogą się wszyscy, którzy skorzystają z lokalnych pijalni wód. Medycznej degustacji w pawilonie Słotwinka towarzyszą pokrzepiające legendy o pasterce i rycerzu, który uleczył się właśnie samą wodą. Inne popularne podanie odnosi się do magicznych właściwości źródła Bocianówka, które miało uzdrowić holenderską księżną Julianę z niepłodności.

Podążając tropem niezwykłych historii można trafić do Muzeum Nikifora ulokowanym w zabytkowej, drewnianej willi Romanówka. Tam dają się poznać dzieje i warsztat pracy niezwykłego prymitywisty. W zbiorach znajduje się 77 dzieł artysty ze wszystkich okresów twórczości, pamiątki po malarzu, plakaty, publikacje oraz fotografie.

Wyjątkową wycieczkę dla zmysłów zapewni podróż do Muszyny. W położonych na malowniczym wzgórzu ogrodach sensorycznych nie zabraknie niezwykłych doświadczeń: zielone przestrzenie zaprojektowano tak, aby oddziaływały na różne zmysły. Podzielono je na 7 stref, w tym zapachu, dotyku, dźwięku i smaku. W części „wonnej” posadzono rośliny, które intensywnie pobudzają zmysł węchu. Po roztarciu w dłoniach ich liści, w nozdrza gości uderzają intensywne olejki eteryczne. W galerii kulinariów nie zabraknie pysznych owoców, a w sektorze romantycznym - na zasadzenie oczekują drzewa miłości. Można się zakochać. W Małopolsce oczywiście!

Nocleg bez banałów

W odkrywaniu Polski na nowo warto uwzględnić także miejsca noclegowe – zrezygnować z tych, które są już dobrze znane, przetestować i wybrać inny hotel lub pensjonat zapewniający dodatkowe atrakcje albo przytulne siedlisko oferujące np. ekologiczne posiłki. Wyszukanie takich miejsc ułatwić mogą przewodniki, jak np. wydanie specjalne miesięcznika *Weranda* – „Weekend w Polsce”. *„Magazyn jest rodzajem przewodnika dla wszystkich, którzy szukają pomysłu na wyjazd do niebanalnych miejsc w Polsce, ale brakuje im czasu na wyszukiwanie i sprawdzanie ofert. Redakcja wykonała tę pracę za czytelnika, podzieliła Polskę na 6 regionów i do każdego starannie dobrała najciekawsze miejsca noclegowe. Wydanie liczy w sumie 140 stron”* – mówi Angelika Zdankiewicz, redaktor naczelna magazynu *Weranda Weekend*.

W dodatku znajdziemy także informacje o wybranych regionalnych restauracjach i atrakcjach turystycznych. *„Całość pozwoli zaplanować wyjątkowy weekend w kilka minut”* – dodaje Zdankiewicz.

Więcej informacji: weranda.pl/weekend-w-polsce/

TREASUREmaster

white's
- QUALITY SINCE 1950 -

TREASUREpro

Profesjonalne wykrywacze od 1950

MADE IN U. S. A.

Znakomita jakość w Twoim zasięgu!

Sformowanie 1 Pułku Szwoleżerów-Lansjerów Gwardii



Z dekretu cesarza Napoleona I:

W obozie naszym cesarskim w Finkenstein dnia 6 kwietnia 1807 roku Napoleon, cesarz Francuzów i król włoski, postanowiliśmy i stanowimy co następuje:

Art. 1. Utworzony będzie Lekko-konny Polski Pułk Gwardii.

Art. 2. Pułk ten składać się będzie z czterech szwadronów, każdy o dwóch kompaniach.

(...)

Art. 5. Żeby być przyjętym do korpusu szwoleżerów, trzeba być właścicielem lub synem właściciela, mieć nie mniej niż osiemnaście i nie więcej niż czterdzieści lat, i zaopatrzyć się własnym kosztem w konia, mundur, w rządy i rynsztunek kompletny stosownie do wydanego wzoru; co się zaś tyczy osób, które by nie były w stanie sprawić sobie zaraz konia, munduru, rządu i rynsztunku, tym dana będzie zaliczka.

(...)

Art. 10. Nasz major generalny, minister wojny, ma sobie poleconym wykonanie tego naszego dekretu.

[XIX-wieczny przekład oryginału francuskiego, z niewielkimi zmianami]

W ten sposób podczas kampanii pruskiej Napoleona powołany został do życia 1 Lekkokonny Polski Pułk Gwardii Cesarskiej (*1er régiment de cheval-légers lanciers polonais de la Garde impériale*), którego żołnierze zwani byli potocznie szwoleżerami. Chociaż oficjalnie pułk nie stanowił jednostki armii Księstwa Warszawskiego, ale pozostawał jednostką Gwardii Cesarskiej na żołdzie francuskim, stał się najsłynniejszą polską formacją okresu napoleońskiego. Zaciągała się do niego bogata polska szlachta. Składał się on z czterech szwadronów i liczył etatowo 51 oficerów oraz 976 ułanów. Dowodzony przez Wincentego Krasińskiego, uczestniczył w kampaniach hiszpańskiej (1808), austriackiej (1819), rosyjskiej (1812), saskiej (1813) i francuskiej (1814). Wsławił się w wielu bitwach, a do legendy przeszła zwłaszcza słynna szarża szwoleżerów pod Somosierrą z 30 listopada 1808 roku, otwierająca armii napoleońskiej drogę na Madryt.

Choć oficjalnie pułk został rozwiązany 16 lutego 1815 roku, to jego część w postaci stukonnej jednostki, zwanej Szwadronem Elby, pod dowództwem majora Pawła Jerzmanowskiego towarzyszyła Napoleonowi w okresie jego pobytu na tej wyspie. Później w okresie „100 dni”, powiększony do 225 ułanów, uczestniczył jeszcze w kampanii belgijskiej; jako ostatnia polska napoleońska formacja wziął udział w bitwie pod Waterloo.

Tradycje pułku kontynuował w okresie II Rzeczypospolitej I Pułk Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, istniejący w latach 1918–1939. Obecnie jedynym polskim oddziałem ułanów, nie licząc grup rekonstrukcyjnych, jest – pełniący głównie funkcje reprezentacyjne – Szwadron Kawalerii Wojska Polskiego. Są to ostatni szwoleżerowie.

A.F.

Ilustracja: *Oficer 1. Pułku Szwoleżerów-Lansjerów Gwardii Cesarskiej w mundurze paradnym, przed 1925*, Jan Chełmiński, [Wikipedia](#), Domena Publiczna.

Rozpoczęcie Akcji „Wisła”



Samolot Po-2 uszkodzony podczas walk z bandami UPA w Bieszczadach

Pod koniec II wojny światowej na obszarze południowo-wschodniej Polski zaognił się konflikt między polskim podziemiem niepodległościowym oraz jednostkami ludowego Wojska Polskiego a partyzantami Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). Walki były w dużej mierze skutkiem dokonanego wcześniej przez Ukraińców na terenach Wołynia i Małopolski Wschodniej ludobójstwa ludności polskiej. Po 1945 r., gdy wschodnia granica Rzeczypospolitej oparta została na linii Bugu i Sanu, UPA zintensyfikowała swoje działania na Lubelszczyźnie i Podkarpaciu, dążąc z jednej strony do zastopowania przesiedleń ludności ukraińskiej do ZSRR, z drugiej zaś do

stworzenia na tych ziemiach niepodległej Ukrainy.

Sotnie UPA niszczyły linie telefoniczne oraz przeprowadzały zorganizowane ataki na posterunki milicji, stacje kolejowe, mosty i wiadukty. Obiektem ich agresji stawały się także siedziby komisji przesiedleńczych oraz opuszczane przez Ukraińców (w wyniku przesiedleń) wioski i miasteczka, które upowcy podpalali, aby w przyszłości nie mogli zamieszkać tam Polacy.

28 marca 1947 r., gdy w Jabłonkach koło Baligrodu w zasadzce zastawionej przez oddziały UPA zginął ówczesny wiceminister

obrony narodowej gen. Karol Świerczewski, władze komunistyczne w Warszawie postanowiły wykorzystać ten fakt propagandowo i podjęły decyzję o przeprowadzeniu zakrojonej na szeroką skalę deportacji ludności ukraińskiej i rusińskiej (Łemków i Bojków) z południowo-wschodniej Polski na teren tzw. Ziem Odzyskanych. Akcja, która przyjęła najpierw kryptonim „Wschód”, a później „Wisła” – miała na celu pozbawienie oddziałów UPA zaplecza dla prowadzenia dalszych działań zbrojnych.



Najwyższe władze państwowe w specjalnych rozporządzeniach dokładnie określiły sposób relokacji ludności ukraińskiej. Chodziło przede wszystkim o to, aby mieszkała ona jak najdalej od granicy wschodniej państwa polskiego oraz żeby nie tworzyła na nowo zajmowanych ziemiach zwartych skupisk. W wyniku przeprowadzonej w latach 1947–1950 operacji – Wojsku Polskiemu oraz Korpusowi Bezpieczeństwa Wewnętrznego udało się rozbić siły UPA, zaś przesiedlenia objęły ponad 140 tys. osób. Efektami ubocznymi akcji „Wisła” stało się wyludnienie dużych połaci Roztocza, Podgórza Przemyskiego i Bieszczadów oraz zniszczenie dziedzictwa kulturowego tych ziem.

Paweł Cichocki

Fotografia: Uszkodzony w walkach z UPA w Bieszczadach samolot Po-2. Źródło: Kazimierz Sławiński "Dzieje polskich skrzydeł" Wydawnictwo Interpress Warszawa 1974



Jan III Sobieski 1674 - 1696



Ort 1680, Bydgoszcz, Kop. 1997, Kurp. 1246 R5, Gum. 2028, rzadki rocznik



Ort 1864, Bydgoszcz, Kop. 1999, Kurp. 1247, Gum. 2029



Szóstak 1681, Kraków, Kop. 1954, Kurp. 1199, Gum. 2002, litera C między tarczami herbowymi



Szóstak 1682, Bydgoszcz, Kop. 1957, Kurp. 1202, Gum. 2003



Szóstak 1682, Kraków, Kop. 1959, Kurp. 1203, Gum. 2003, rzadszy wariant popiersia w pancerzu,



Szóstak 1683, Bydgoszcz, Kop. 1963, Kurp. 1208



Szóstak 1684 SVP, Bydgoszcz, Kop. 1972, Kurp. 1217, Gum. 2012



Szóstak 1685 B, Kraków, Kop. 1975 R3, Kurp. 1220 R3, Gum. 2015, szara patyna, rzadki rocznik



Trojak 1684, Kraków, Kop. 1931 R3, Kurp. 1180, Gum 1992, pod popiersiem króla litera B



Szeląg 1688, Gdańsk, Kop. 7686 R3, Kurp. 1261, Gum. 2040, rzadki

Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.

www.pgnum.pl

Bitwa pod Raławicami



1 kwietnia 1794 r. Tadeusz Kościuszko, od tygodnia Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej walczącej z Rosją o niepodległość Rzeczypospolitej, wyruszył z Krakowa w kierunku Warszawy. Idąc traktem na Działoszyce, natknął się na kolumnę wojsk nieprzyjaciela gen. Aleksandra Tormasowa (ok. 3 tys. żołnierzy i 12 dział), ścigającą brygadiera Antoniego Madalińskiego, którego marsz z Ostrołęki, rozpoczęty kilka tygodni wcześniej, dał znak do wybuchu powstania.

Polacy i Rosjanie stanęli naprzeciwko siebie w rejonie Wzgórz Raławickich. Około godz. 15 dwie kolumny rosyjskie ruszyły do ataku na rozkaz Tormasowa. Liczył on, że w czasie bitwy zdąży przybyć z Lubelszczyzny z posiłkami gen. Denisow. Początkowo atak zakończył się sukcesem - rozbiciem polskiej jazdy pod dowództwem płk. Manęta. Ta jednak po rozproszeniu powróciła na pole bitwy. W tym czasie w centrum walk toczył się ostry pojedynek artyleryjski. Ogień polskich dział powstrzymał napór piechoty rosyjskiej. W chwili, kiedy podjęto decyzję o wysłaniu jazdy Madalińskiego przeciw


oddziałowi płk. Pustowałowa, Kościuszko postanowił użyć przeciwko siłom nieprzyjaciela kosynierów oraz żołnierzy 4. kompanii piechoty z 3. i 6. regimentu. Naczelnik osobiście stanął na ich czele. Artyleria rosyjska była zaskoczona nadzwyczajnym oddziałem i jego niecodzienną bronią, co ułatwiło polskie działania. Potem wódz pchnął do boju chłopską milicję. Wrogie działa zostały przejęte przez chłopów małopolskich, wśród których odznaczył się m.in. Wojciech Bartosz, nagrodzony później przez Kościuszkę nazwiskiem Głowacki.

M. G.-K.


Ilustracja: Tadeusz Kościuszko na miedziorycie według rysunku najprawdopodobniej Johanna Heinricha Schrödera (1757-1812), Muzeum Historii Polski, CC-BY-NC.

Kolejne uderzenia polskie zmusiły Rosjan do wycofania się z pola walki.


Zbliżający się Denisow, otrzymawszy informacje o polskim zwycięstwie, zniechęcił się do podjęcia jakichkolwiek działań. Ostatecznie bitwa zakończyła się wieczorem. Straty po stronie rosyjskiej wynosiły około tysiąca zabitych i rannych. Wojska Kościuszki również były poważnie osłabione, dlatego naczelnik nie podjął w najbliższym czasie kolejnej bitwy. Sukces spod Racławic bardzo szybko stał się elementem powstańczej propagandy, która wzmocniła morale walczących Polaków.


 Uniwersytet Wrocławski

INTERNATIONAL
CONFERENCE
WROCŁAW
24-27.05.2017


Instytut Archeologii Uniwersytetu Wrocławskiego
Muzeum Archeologiczne (oddział Muzeum Miejskiego Wrocławia)
Oddział Polskiej Akademii Nauk we Wrocławiu
Fundacja Nauki Archaeologia Silesiae

SILESIAN
ARCHAEOLOGICAL SYMPOSIUM
XX ŚLĄSKIE SYMPOZJUM
ARCHEOLOGICZNE







XVI Złot Zabytkowych Mercedesów StarDrive Poland 2017 Krynica-Zdrój 15-18 czerwca



PATRONAT HONOROWY
DR DARIUSZ REŚKO – BURMISTRZ KRYNICY-ZDROJU



 **Krynica**
całym sercem

PARTNER GŁÓWNY



SPONSOR GŁÓWNY



Mercedes-Benz
Sobiesław Zasada
Automotive

PATRONI MEDIALNI

AUTOMOBILISTA

CLASSICAUTO

Bitwa pod Raszynem



W kwietniu 1809 r. Austria wystąpiła na czele V Koalicji antynapoleońskiej przeciwko Napoleonowi, nie mogąc pogodzić się z dotychczasowym stanem rzeczy utrwalonym po klęsce pod Austerlitz z 1805 r. W ramach szeroko zakrojonych działań przewidywano również atak na francuskiego sojusznika - Księstwo Warszawskie. 9 kwietnia arcyksiążę Ferdynand d'Este przekroczył granicę Księstwa, kierując się prosto na Warszawę. Austriacy mieli ok. 32 tys. żołnierzy wraz z 94 działami. Polacy mogli im przeciwstawić jedynie ok. 15 tys. ludzi i

32 dział, wspomaganych niewielkim oddziałem saskim (blisko 2 tys. ludzi). Do starcia doszło na przedpolach stolicy, w okolicy wsi Raszyn, u zbiegu dróg z Krakowa i Wrocławia.

Bitwa rozpoczęła się z samego rana, kiedy to pod Nadarzynem oddział jazdy gen. Aleksandra Roźnieckiego stoczył potyczkę z Austriakami, po czym zgodnie z planem wycofał się w stronę Raszyna. Około 14 nastąpił zdecydowany atak na Falenty i pobliską groblę między stawami w kierunku Raszyna. Na tym odcinku obronę dowodził gen. Michał Sokolnicki, który

jednak pod naporem sił wroga musiał ustąpić z pozycji koło Falent. Poinformowany o tym naczelny wódz ks. Józef Poniatowski powstrzymał polski odwrót, osobiście z bagnetem w ręku prowadząc przez groblę kontratak. Po pewnym czasie udało się odbić Falenty. Mimo tych wysiłków Austriakom, posiadającym o wiele mocniejszą artylerię, ponownie udało się wyprzeć Polaków. O 19 zaatakowano sam Raszyn. Równoczesna próba zdobycia wsi Puchały się nie powiodła. Dzięki ostrzałowi polsko-saskiej baterii 16 dział odparto piechotę austriacką z Raszyna. Nieprzyjaciół nadal jednak mocno trzymał się w Falentach, na które przypuścił szturm oddział płk. Cypriana Godebskiego. W toku wymiany ognia bohaterski dowódca został jednak śmiertelnie ranny, a oddział musiał się cofnąć. Walka skończyła się o 9 wieczorem.

W następstwie Poniatowski wycofał się do Warszawy i po burzliwej naradzie z generalicją zdecydował się oddać stolicę arcyksięciu, a samemu udać się do Galicji. Mimo początkowych negatywnych reakcji opinii publicznej, niedaleka przyszłość dowiodła, że była to właściwa decyzja. Arcyksiążę Ferdynand po zajęciu Warszawy nie miał dość sił, by zdziałać cokolwiek więcej w Księstwie, zaś Poniatowski mógł swobodnie zajmować Galicję i prowadzić werbunek na tych terenach. Dzięki temu, podczas zawierania traktatu w Schönbrunn, Księstwo Warszawskie powiększyło się o ok. 50 tys. km² zaboru austriackiego.

M. G.-K.

Ilustracja: obraz Wojciecha Kossaka *Bitwa pod Raszynem* z 1913 r., [Muzeum Narodowe w Warszawie](#), CC-BY-NC.



Rumunia

W znakowaniu rumuńskim nie stosowano jednego, zunifikowanego systemu znakowania. Oznaczenia przyjmowały układ 90 stopni z lub bez linii sektorowych. Pierwszą fabryką była fabryka Copsa-Mica-Cugir. Na godz. 12 umieszczano trzyliterowy kod fabryki (CMC), na 3 i 9 pełen rok produkcji a na 6 kaliber amunicji. W 1940 roku zmodyfikowano system znakowania, przy czym modyfikacja ta polegała na usunięciu linii sektorowych oraz na dodaniu do oznaczenia kalibru litery D oznaczającej dostosowanie amunicji do standardów niemieckich.

Nieco inaczej wyglądało znakowanie stosowane przez zakład Pirotechnia Armatei, Brasov. Kod producenta w postaci liter P A umieszczony był na godz. 9 i 3, na godz. 12 znajdował się pełen rok produkcji a na 6 oznaczenie kalibru z litera "D". Nie stosowano w tym przypadku sektorowania dna łuski

9x23 Steyer



Producent: Pirotechnia Armatei, Brasov.
Wyprodukowano w 1943 roku.

Picture from LIVIU
STOICA

9x19 Parabellum



Producent: Copsa-Mica-Cugir.

Picture from LIVIU
STOICA

7,92x57 Mauser



Producent: Copsa-Mica-Cugir.
Wyprodukowano w 1940 roku.

Picture from LIVIU
STOICA



Producent: Copsa-Mica-Cugir .
Wyprodukowano w 1942 roku.



Producent: Pirotechnia Armatei, Brasov.
Wyprodukowano w 1941 roku.



Producent: Pirotechnia Armatei, Brasov.
Wyprodukowano w 1940 roku.

JARO

Bitwa pod Warką



Wczesnym rankiem 7 kwietnia 1656 roku, po całonocnej przeprawie przez Pilicę, wycofujące się z okolic Janowca w stronę Warszawy wojska Fryderyka margrabiego von Baden-Durlach podzieliły się na dwie grupy, z których jedna zajmowała się niszczeniem mostu i obserwowaniem zbliżających się do rzeki Polaków, a druga ruszyła w stronę Czerska. Pochód opóźniały jadące wolno ciężkie wozy, wyładowane łupami należącymi do komendanta Radomia Ritiera. Szwedzi czuli się bezpiecznie, sądząc że goniące ich

oddziały polskie pod dowództwem Stefana Czarnieckiego nie będą w stanie się przeprawić przez głęboką, „klijowatą” (z mulistym dnem) i szeroko rozlaną po wiosennych roztopach rzekę.

Kilka kilometrów w górę rzeki od zniszczonego mostu Czarniecki znalazł jednak bród nadający się do przeprawy, po czym, dając przykład innym, ruszył jako pierwszy; za nim w ciągu godziny dostało się na drugi brzeg 3000 jeźdźców. Po przeprawieniu się przez rzekę dwa pułki

jazdy ruszyły w stronę Chynowa, żeby odciąć Szwedom możliwość odwrotu, reszta chorągwi została podzielona na dwie części: grupa dowodzona przez Czarnieckiego skręciła w stronę miasteczka, żeby rozprawić się z pozostawionymi w Warce dragonami szwedzkimi, natomiast chorągiew pod dowództwem Jerzego Lubomirskiego rozpoczęła pogoń za wojskiem margrabiego, dopędzając szwedzką straż tylną i rozbijając regiment Ritтера (dowódca szwedzki zginął).

Fryderyk Badeński zdał sobie sprawę, że bitwa jest nieunikniona, zatrzymał wojska na skraju lasu, gdzie uformował linię obronną w oparciu o całą rajtarię i połowę spieszonych dragonii (piechoty szwedzkiej). W głębi lasu ukryło się dodatkowo 600 dragonów, którzy mieli za zadanie ogniem z muszkietów powstrzymać atak Polaków. W tej sytuacji oddziały polskie nie były w stanie wykonać manewru okrążenia Szwedów, ani ataku od strony Chynowa na tyły nieprzyjaciela.

Husaria Lubomirskiego runęła na nieprzyjaciela, ale nie zdołała rozerwać sztyków zwartych szeregów rajtarii. Mający w tej fazie bitwy przewagę liczebną Szwedzi ruszyli do przeciwuderzenia. Zostało ono powstrzymane przez posiłki w postaci dragonii Krzysztofa Wąsowicza oraz lekkiej jazdy i husarii Jana Sobiepana Zamoyskiego, którym udało się przeprawić przez Pilicę i wkroczyć do akcji. Polacy dokonali decydującego uderzenia po tym, jak do bitwy dołączyły chorągwie Czarnieckiego.

W.Sz.

Ilustracja: *Bitwa pod Warką*, Franciszek Smuglewicz, Wikipedia, domena publiczna.

Rajtarzy zaczęli uciekać w stronę lasu, powodując zamęt wśród ukrytych tam dragonów. Grupa 400 Szwedów próbowała się skryć w głębokim lesie, ale okoliczni chłopcy podpalili trawę i krzewy by zmusić ich do wyjścia na otwarte pole, gdzie doszło do krwawej bitwy, która zakończyła się wycięciem całego oddziału szwedzkiego.

Innej uciekającej grupie przecięły drogę dwa pułki dowodzone przez Andrzeja Potockiego i Jakuba Potockiego, które zostały wysłane na początku bitwy pod Chynów. Margrabia wraz z 700 ludźmi zdołał uciec do Czerska, żeby stamtąd później przebić się do Warszawy. Szwedzi stracili w bitwie i podczas ucieczki ponad 1500 żołnierzy, 260 dostało się do niewoli, po stronie polskiej było około 100 zabitych i 100 rannych żołnierzy.

Bitwa pod Warką nie przesądziła o losach wojny, oddziały Czarnieckiego nie były jeszcze w stanie wkroczyć do Warszawy, a królowi szwedzkiemu Karolowi Gustawowi udało się, mimo obecności wojsk litewskich, uciec z osaczenia w widłach Wisły i Sanu. Znaczenie tego zwycięstwa bardzo trafnie ujął po latach w swoich *Pamiętnikach* Jan Chryzostom Pasek: *Czwarta nader szczęśliwa pod Warką wiktoryja, kiedyśmy z Czarnieckim samego wyboru szwedzkiego kilka tysięcy trupem położyli i rzekę Pilicę krwią i trupami szwedzkimi napelnili. Od tego czasu już nutare coepit [chwiać się poczęła] potęga szwedzka i znacznie słabiej.*

Zdobycie twierdzy Dorpat



Kłeska wojsk Zygmunta III Wazy w bitwie pod Linköping w starciu z wojskami jego stryja Karola Sudermańskiego, powrót króla do Gdańska i zajęcie w maju 1599 roku Kalmaru, ostatniego punktu oporu szwedzkich zwolenników Zygmunta oznaczały koniec unii personalnej między Rzeczpospolitą Obojga Narodów i Szwecją.

24 lipca 1599 roku szwedzki parlament (Riksdag) zdetronizował Zygmunta Wazę i zaoferował koronę jego czteroletniemu synowi, królewiczowi Władysławowi pod warunkiem przyjazdu chłopca do Szwecji i jego wychowania w wierze luterńskiej.

Zygmunt odrzucił tę propozycję. Otworzyło to drogę do korony szwedzkiej Karolowi Sudermańskiemu, który w 1600 został uznany przez Riksdag królem (choć jego koronacja odbyła się dopiero w 1607 roku).

12 marca 1600 roku pozbawiony korony szwedzkiej Zygmunt postanowił spełnić swoją dawną obietnicę i podczas obrad sejmku odstąpił Estonię Rzeczypospolitej. Spowodowało to ofensywę wojsk szwedzkich, które w dwóch grupach wkroczyły do Inflant i szybko zajęły większość twierdz (z wyjątkiem Rygi i Kokenhuzy). 6 stycznia 1601 roku wojska Karola zdobyły Dorpat (obecnie Tartu w Estonii), broniący przez polski garnizon składający się z trzech chorągwi rajtarii i oddziału hajduków. Jeden z trzech rotmistrzów rajtarii, Henryk Ramel, został ranny po ostrzale szwedzkiej artylerii, natomiast drugi, Herman Wrangel, dopuścił się zdrady: jego żołnierze aresztowali kasztelana zamku dorpackiego Jerzego Schenkinga i trzeciego rotmistrza Kaspra Tyzenhauza, a następnie otworzyli bramy miejskie i przyłączyli się do armii szwedzkiej.

Dorpat należał do Rzeczypospolitej od rozejmu w Jamie Zapolskim w 1582 roku. Król Stefan Batory nadał miastu flagę w polskich barwach narodowych i ustanowił je stolicą jednego z trzech okręgów administracyjnych (prezydentur) w Inflantach. Od 1598 roku miasto było stolicą województwa dorpackiego. Jak podaje *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego: W tym czasie też i jezuita założyli tu swoje kolegium, a wspinały tum gotycki zabrział potężnym głosem każącego tam Piotra Skargi.*

Kontrofensywa polska pod dowództwem hetmana wielkiego litewskiego Krzysztofa „Pioruna” Radziwiłła ruszyła wiosną 1601 roku, Szwedzi ponieśli klęskę w bitwie pod Kokenhuzą, wojskom Radziwiłła udało się także utrzymać Rygę mimo szturmów wojsk Karola w nocy z 8 września na 9 września. Jesienią do Inflant wkroczyła kilkutysięczna armia hetmana wielkiego koronnego Jana Zamoyskiego, w grudniu zdobyto Wolmar, a w maju 1602 roku Fellin. W rękach szwedzkich pozostało kilka ważnych twierdz (w tym Dorpat).

Plany dalszej ofensywy Zamoyskiego załamały się z powodu zbyt małych funduszy przeznaczonych przez sejm na prowadzenie wojny i zaległości w płaceniu żołdu. Do tego doszedł głód i zaraza. Tak ówczesną sytuację opisał Gustaw Manteuffel w *Zarysie z dziejów krain dawnych inflanckich: Położenie kraju było straszliwe. Morowe powietrze, głód i nieurodzaj ciążyły nad znękanymi mieszkańcami; dobra szlacheckie całkowicie zniszczone, chłopci uciekają do lasów w głąb Estonii, a nawet w głąb Litwy, pozostałych, na pół zdziczałych, niepodobna do pracy nakłonić.*

Po powrocie Zamoyskiego do Polski wodzem został hetman polny litewski Jan Karol Chodkiewicz. Opłacił żołnierzy częściowo z własnych pieniędzy i ruszył na Dorpat. Miasto zostało zablokowane przez wojska litewskie w listopadzie 1602 roku. W marcu Chodkiewicz podzielił swoje oddziały na dwie części i z 4 chorągwiami jazdy udał się na pomoc zagrożonej załodze Rakvere. W pobliżu twierdzy husaria odniosła zwycięstwo nad wojskami szwedzkimi, tracąc tylko jednego żołnierza i zabijając 170 nieprzyjaciół (głównie chłopską piechotę). Przyspieszyło to kapitulację Dorpatu. 13 kwietnia 1603 roku załoga szwedzka pod dowództwem Olafa Strale poddała miasto. Chodkiewicz pisał w liście do króla: *Szwedzi wyszli z chorągwiami zwinionymi, groty na dół, muszkiety pod pachą trzymając... 13 kwietnia ustąpiło tak Szwedów, jak i księcia Olsztyńskiego żołnierzy 1050, pospólstwa nie licząc; armat różnych ze szturmakami zostało 80 kilka; niektóre działa, a kilkanaście lasztów prochu zakopane być mają.* Wychodzący z miasta żołnierze udali się w stronę Tallinna – na rozkaz hetmana zostali oni zaopatrzeni w podwozy, aby mogli zabrać chorych i rannych. Około 60 najemników niemieckich opuściło oddziały szwedzkie i przeszło na stronę litewską.

Nie był to koniec wojny, rok później Chodkiewicz pokonał Szwedów pod Białym Kamieniem, a w 1605 roku odniósł kolejne wspaniałe zwycięstwo w bitwie pod Kircholmem. Sukcesy te zostały tylko w części wykorzystane politycznie. Wojny

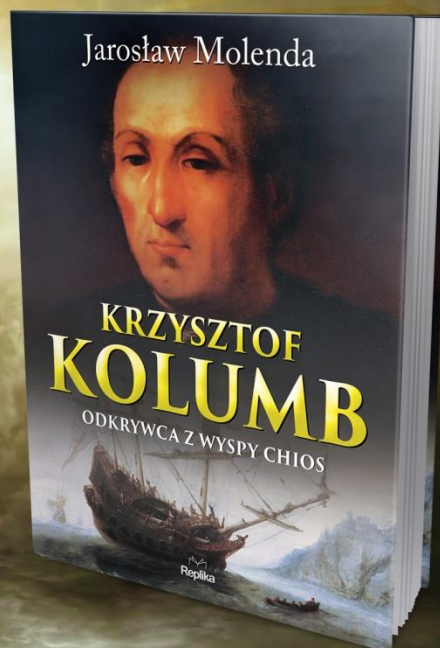
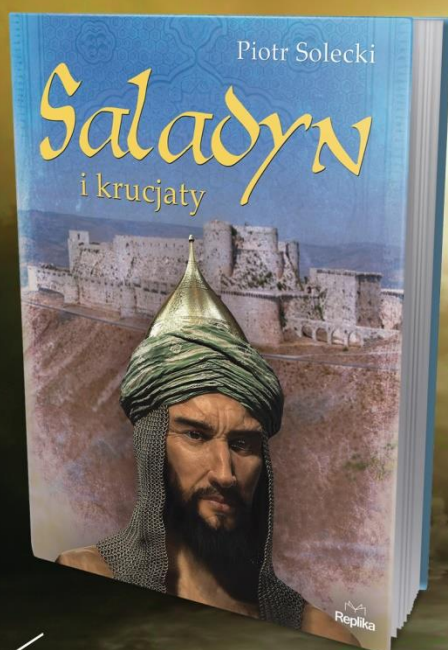
ze Szwecją trwały jeszcze przez kilkadziesiąt lat, a Dorpat ponownie opanowali Szwedzi w 1625 roku; miasto nigdy już nie wróciło w granice Rzeczypospolitej.

W.Sz.

Ilustracja: Jan Karol Chodkiewicz, 1860-1866, autor: Wojciech Gerson, [Wikipedia](#), Domena Publiczna.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

LUDZIE, KTÓRZY ZMIENILI OBRAZ ŚWIATA



Tel. 61 868 25 37, handlowy@replika.eu



POSZUKIWANIA

Fundusz Obrony Narodowej



W latach 30. XX wieku II Rzeczypospolita prowadziła na arenie międzynarodowej politykę zachowywania równych odległości między Moskwą a Berlinem. Efektem zabiegów polskiej dyplomacji, na której czele stał minister spraw zagranicznych Józef Beck, było m.in. zawarcie w 1932 r. paktu o nieagresji z ZSRR oraz podpisanie w 1934 r. podobnego układu z Niemcami.

Pomimo tych porozumień polskie władze zdawały sobie sprawę, że „odprężenie” w relacjach z potężnymi sąsiadami nie będzie trwało wiecznie, tym bardziej, że zarówno III Rzesza, jak i strona sowiecka rozbudowywały swój arsenał broni, przygotowując się do przyszłego konfliktu militarnego w Europie.

Coraz bardziej wyczuwalne zagrożenie zewnętrzne przełożyło się na konkretne decyzje rządzącego krajem obozu sanacyjnego. Jedną z nich było utworzenie

9 kwietnia 1936 r. przez Prezydenta RP Ignacego Mościckiego Funduszu Obrony Narodowej. Głównym celem funkcjonowania tego podmiotu stało się gromadzenie środków na dozbrajanie polskiej armii oraz realizację wojskowego programu inwestycyjnego. Kapitał FON-u składał się z wpłat od osób prywatnych, darów od różnych instytucji, wpływów ze sprzedaży wojskowych nieruchomości oraz dotacji skarbu państwa. Według wyliczeń fundusz zgromadził do wybuchu II wojny światowej około 1 mld złotych. Środki w

walucie wydano na broń dla żołnierzy, zaś resztę, przede wszystkim przedmioty wykonane ze srebra i złota, ewakuowano w 1939 r. poza granice państwa.

W okresie trwania światowego konfliktu podtrzymywano istnienie FON-u, ale zbiórki pieniężne były przeprowadzane głównie wśród amerykańskiej i kanadyjskiej Polonii. W czerwcu 1945 r. minister obrony narodowej rządu RP na

emigracji gen. Marian Kukiel zdecydował o ofiarowaniu zebranych przez fundusz dóbr na pomoc dla byłych żołnierzy Armii Krajowej i ich rodzin. Pozostały zaś majątek organizacji, wbrew woli polskiego rządu w Londynie, został w 1947 r. przekazany przez gen. Stanisława Tatara premierowi Józefowi Cyrankiewiczowi, który reprezentował krajowe władze komunistyczne.

Paweł Cichocki

Fotografia: Uczniowie szkoły powszechnej w Mosinie zbierają surowce wtórne w celu uzyskania pieniędzy na Fundusz Obrony Narodowej. Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe (syg. 1-W-3011).

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski



white's
MADE IN U.S.A.

white's
QUALITY SINCE 1950

NOWOŚĆ
MXSPORT

MADE IN U.S.A.

Prawdopodobnie najlepszy wykrywacz na rynku!

Wybuch powstania w getcie warszawskim



Rozmowa z dr. **Andrzejem Żbikowskim**

Czy decyzja o powstaniu była dla Niemców zaskoczeniem?

Wybuch powstania był dla Niemców zaskoczeniem. Zdawali sobie oni sprawę z tego, że w getcie działa konspiracja, jednak nie mieli pojęcia, czy jest ona uzbrojona ani czy ma kontakty ze stroną polską. W ogóle w sytuacji w getcie i w panujących tam stosunkach nie orientowali się zbyt dobrze. Między końcem lipca a końcem

września odbyła się w Warszawie wielka akcja likwidacyjna, po której zwarte getto przestało właściwie istnieć. To, co przetrwało aż do okresu powstania, to getto szczątkowe, podzielone na osobne sektory, w których mieszkali tzw. legalni, czyli Żydzi zatrudnieni w warsztatach niemieckich i mający przepustki uprawniające do wychodzenia w kolumnach do pracy. Do getta, w którym legalnie mieszkali członkowie ich rodzin, wracali na noc. Takich ludzi było około 35 tysięcy. Tyle właśnie numerków na życie wydały władze niemieckie pod koniec

wielkiej akcji. Niemal drugie tyle mieszkańców getta stanowili "nielegalni", którzy ukrywali się w opustoszałych domach i poruszali się tylko w nocy. Było ich od 20 do 30 tysięcy. Z pół miliona ludzi zostało więc łącznie około 60 tysięcy. Ponad 250 tysięcy Niemcy wywieźli do Treblinki i tam zamordowali. Można więc sobie wyobrazić, że pustych domów było już bardzo dużo. Jedynie niektóre były zamieszkałe - przez ludzi "legalnych" czy "nielegalnych". Getto było zasiedlone wyspowo. Nie było jeszcze zniszczone, ale zupełnie opustoszałe. Na jego terenie działały co prawda komanda sprzątające, które zbierały cenne rzeczy i odnosiły je do placówki niemieckiej, jednak Niemcy nie interweniowali zbyt często i nie chodzili po getcie.

Jacy ludzie zamieszkiwali getto w ostatnim okresie jego istnienia?

W grupie osób, którym udało się uniknąć wywiezienia do Treblinki, przeważali ludzie, którzy jeszcze nadawali się do pracy, czyli młodzi, silni. Wywózkom najdłużej opierali się Żydzi, którzy mieli jakieś zajęcie. Wśród ukrywających się było stosunkowo dużo osób samotnych i w większym stopniu zasymilowanych. Tam już nie było tak wielu, jak w zwyczajnym żydowskim mieście, ubranych tradycyjnie chasydów z długimi brodami. Znaczna część młodzieży była już zorganizowana. Zbierali się w syjonistycznych bądź socjalistycznych grupach młodzieżowych, związanych z partiami politycznymi, które wcześniej nielegalnie działały w getcie. Ludzie ci byli ze sobą w ciągłym kontakcie. Zaczęli się zastanawiać, co można zrobić i jak zaprotestować przeciwko niemieckiej polityce mordów i wysiedleń. Pierwsze spotkania tych najbardziej aktywnych działaczy z rozproszonych grup odbywały się już pod koniec sierpnia 1942 roku. W październiku zaczęto rozmawiać o centralnej organizacji konspiracyjnej. Od końca wielkiej akcji likwidacyjnej - 21 września 1942 roku,

kiedy odszedł ostatni pociąg do Treblinki - do stycznia 1943 trwał okres przygotowań. Prowadzili je ludzie związani z organizacjami syjonistycznymi i lewicowymi, w tym z komunistami. Próbowano nawiązać kontakt z polskim podziemiem, zdobyć broń, instrukcje, zorganizować pomoc. Przez lata zamknięcia w getcie kontakty te były sporadyczne. Odbywały się raczej na obszarze marginesu społecznego i dotyczyły ludzi związanych ze szmugłem żywności. To ważne, bo ci właśnie ludzie odegrali bardzo ważną rolę w czasie przygotowań.

Środowisko lewicowo-syjonistyczne powołało konspiracyjną organizację o nazwie Żydowska Organizacja Bojowa. ŻOB-owcy, ta elita młodych konspiratorów, kierowana przez Mordechaja Anielewicza, byli bardzo zróżnicowani ideowo. Jeszcze przed wojną spierali się o to, jak ma wyglądać przyszłość na emigracji, jak szybko trzeba wyjeżdżać do Palestyny, jak ma wyglądać budowa nowego państwa żydowskiego. Większość miała przekonania lewicowe, przed wojną należała do któregoś z ruchów lewicowych i żywiła sympatię do Związku Radzieckiego.

Przekonanie o konieczności przygotowania się do emigracji do Palestyny było podstawowym elementem ideologii syjonistycznej. Jako główne zadania stawiano sobie: obronę - w Europie przed Niemcami, a w Palestynie przed Arabami - oraz przygotowanie ludzi do budowania państwa rolniczego od podstaw. Trzeba więc było przyuczyć ich do zawodów, które będą tam później potrzebne. Syjoniści szkolili się przed wojną, pracując na wspólnych farmach, w kibucach.

Skąd Żydzi mieli broń, w jaki sposób ją zdobywali?

Początkowo ŻOB-owcy nie mieli żadnej broni - dopiero w listopadzie 1942 roku

dostali pierwsze dziesięć pistoletów, podczas gdy organizacja zrzeszała prawie tysiąc osób.

Jednak sytuacja się zmieniała. Przychodziły wiadomości z całej Polski, że Niemcy likwidują kolejne gminy żydowskie, wysyłają Żydów do różnych ośrodków zagłady i mordują. Było jasne, że Niemcy nie zostawiają getta warszawskiego w spokoju. Z jednej strony próbowano więc zdobyć środki finansowe, a z drugiej - w porozumieniu z pracującymi, którzy wychodzili na drugą stronę, nawiązać jakieś kontakty i kupić broń. Głównemu nurtowi ruchu oporu w getcie nie udało się zdobyć zbyt wiele broni.

Jednak na początku grudnia 1942 roku pojawiła się zwarta grupa dobrze przygotowanych młodych ludzi związanych z organizacją Betar. Była to młodzieżowa przybudówka radykalnej organizacji syjonistów-rewizjonistów, która jeszcze przed wojną nastawiona była na czynną walkę o państwo żydowskie w Palestynie. Byli w niej młodzi ludzie, średnio około dwudziestu lat, pochodzący z dobrych, zamożnych domów, bardzo zasymilowani, dobrze wykształceni - po liceach, i bardzo często też po przeszkoleniu w polskim wojsku. Przyjechali z farmy spod Hrubieszowa, gdzie się ukrywali zwartą grupą ponad stu osób, nawiązali tu kontakty i zaczęli się przygotowywać do oporu zbrojnego, który miał być reakcją na działania niemieckie. Zdobywali środki na cele organizacyjne, zamożnych Żydów, którzy dorobili się w getcie lub ukryli majątek, zmuszając do darowizn, wymuszając haracze i okupy. Za zdobyte w ten sposób pieniądze w porozumieniu z polską konspiracją kupowali broń.

Operatywna grupa betarowców, która później stworzyła Żydowski Związek Wojskowy, radziła sobie znacznie lepiej niż ideowi lewicowi syjoniści, którzy byli

słabiej uzbrojeni. W sumie na terenie getta na 50-60 tysięcy ludzi około tysiąca było zaangażowanych w działalność konspiracyjną. Była to znacząca grupa młodych ludzi, która doskonale się w tym opustoszałym getcie poruszała.

18 stycznia Niemcy powrócili do czynnej polityki wobec Żydów w Warszawie, co wiązało się z wizytą szefa SS i policji w Rzeszy i całej okupowanej Europie, Heinricha Himmlera, który rozmawiał z dowódcami warszawskimi o planach likwidacji dzielnicy żydowskiej. Niemcy skierowali do getta pierwszą grupę zbrojną, która Judenrat - organ żydowskiego samorządu uzależniony od Niemiec - miała zmusić do przygotowania do wyjazdu na Lubelszczyznę, do obozów pracy w Poniatowej i w Trawnikach, transportu 6 tysięcy osób. W trakcie ich zbierania - wyganiania z domów i kierowania na Umschlagplatz, plac przeładunkowy przy ulicy Stawki, z którego odchodziły transporty Żydów - doszło do pierwszego aktu oporu. W grupie złapanych ludzi było kilku bojowców, którzy mieli dwa pistolety i zaczęli strzelać. Ludzie wpadli w panikę. Wydarzenie to nazywamy samoobroną styczniową. Niemcy zrealizowali jednak swój plan i wysłali transport do Trawnik, ale już wiedzieli, że w getcie coś zaczęło się dziać.

Samoobrona styczniowa odbiła się echem w polskiej konspiracji. Stało się głośno o tym, że Żydzi strzelają i nie chcą, tak jak wcześniej, dobrowolnie dać się wysłać w nieznanym kierunku. Kontakty z żydowskimi organizacjami podziemnymi stały się intensywniejsze. Doszło do pierwszych spotkań przedstawicieli ŻOB z oficerami Armii Krajowej. Żydzi odebrali pierwszy większy transport pistoletów i granatów. Oprócz 50 pistoletów, które Okręg Warszawski AK przeznaczył dla bojowców, AK wysłała również paru instruktorów, którzy mieli szkolić ludzi za murem. Współpraca się rozwijała. Żydzi

nadal pracowali na placówkach, kupowali broń. Lepiej uzbrojony Żydowski Związek Wojskowy dysponował tajnym przejściem - podkopem z budynku w getcie do gmachu po polskiej stronie. Dziś już nie ma placu Muranowskiego, przy którym stały te kamienice. Znajdował się on na pograniczu Starego Miasta, blisko ulicy Bonifraterskiej. To właśnie tamtędy przetrzymywano broń, wysyłano emisariuszy. Wszystko to trwało spokojnie do 19 kwietnia. W nocy z 18 na 19 doszło do koncentracji sił niemieckich wokół getta. O 6 rano ruszyły dwie pierwsze kolumny niemieckie i wkroczyły do getta w liczbie nieco poniżej 2 tysięcy. Około 500 stanowili *Trawnikiemänner*, czyli rosyjskojęzyczni jeńcy, którzy przeszli na stronę Niemców i zostali przeszkoleni w obozie w Trawnikach jako straż obozowa. Mieli karabiny, nadawali się do konwojowania i do pilnowania.

Sam moment wybuchu powstania jest więc konsekwencją wejścia Niemców do getta?

Tak. Młodzi Żydzi byli już do tego przygotowani. Obserwowali sytuację, dostawali sygnały od strony polskiej i zdawali sobie sprawę z tego, że Niemcy prędzej czy później zdecydują się na jakiś ruch. Żydzi podzieleni byli na grupy bojowców - było ich około 30, a w każdej działało 10-15 osób. Według historyków powstania, z których najważniejszym żyjącym jest Izrael Gutman, z reguły każdy z bojowców miał własny pistolet i przynajmniej dziesięć naboju. Powstańcy mieli też kilkadziesiąt granatów i sporo butelek zapalających, tak zwanych koktajli Mołotowa. Niemcy zaatakowali getto z dwóch stron. Od Nalewek, które były jedną z głównych arterii, weszła główna kolumna i tam wybuchły pierwsze walki. Toczyły się one w północnej części getta. 19 kwietnia Niemcy weszli do getta dwa razy. Po południu bojowcy wywiesili na budynku dwa sztandary: niebieski, czyli

syjonistyczny, żydowski, i polski - biało-czerwony. Niemcy, ostrzelani i obrzuceni granatami przez bojowców, wyszli na noc z getta. Następnego dnia ruszyli przede wszystkim na duży, zwarty, otoczony wysokimi kamienicami plac Muranowski - tam, gdzie na rogu w jednej z kamienic znajdowało się przejście podziemne. Walki przybrały na sile. Toczyły się między innymi w fabryce u wylotu Bonifraterskiej - w Szopie Szczotkarzy - gdzie walczyli głównie bojowcy z Bundu pod dowództwem Marka Edelmana. Trzeciego dnia na placu Muranowskim wciąż trwały zacięte walki. Po ich zakończeniu część bojowców przedostała się na stronę aryjską, a inną część Polacy przetransportowali na Pragę i stamtąd Włodem Miedzeszyńskim w stronę Józefowa, gdzie ukrywali się przez kilka miesięcy. Później, zadenuncjowani przez polskiego policjanta, zginęli w większości w walce. Druga dobrze uzbrojona grupa wyszła 22 albo 23 kwietnia - nie mamy pewności kiedy, gdyż przeżyło ich niewielu, niektóre szczegóły nie są znane do dzisiaj.

Czy Niemcy zdawali sobie sprawę z tego, że walczący opuszczają getto?

Kilkanaście osób zostało otoczonych i zabitych już za murem getta. O części, która się wycofała, nie wiedzieli, gdyż to wszystko działo się w głębokiej tajemnicy. Ludzi związanych z władzami getta, Judenratami i policją żydowską było tyle samo co bojowców - około tysiąca. Liczyli na to, że Niemcy ich zachowają przy życiu. Myśleli, że nadal będą potrzebni. Reszta od dawna przygotowywała się na coś złego. Najbardziej typową postawą tych mieszkańców getta było szykowanie kryjówek. Chcieli przeczekać, ukryć się na jakiś czas, a później być może dokądś uciec, o ile nadarzyłaby się okazja. Kryjówki urządzano przede wszystkim w schronach wykopanych pod podłogami piwnic. Wyposażano je w zapasy żywności, wodę. Kiedy wybuchło

powstanie, ludzie pochowali się w przygotowanych miejscach. Po trzech dniach, kiedy walki skończyły się z braku amunicji, część wyszła, reszta nadal siedziała w bunkrach.

Czy podjęto próby wyprowadzenia z getta ludności cywilnej?

Nie było na to absolutnie żadnych szans. Tylko pojedyncze grupy bojowców próbowały wychodzić z getta.

Jak długo trwało powstanie i co działo się po jego zakończeniu?

Powstanie jako silny opór zbrojny trwało trzy dni. Następne dni również nazywamy powstaniem w getcie, choć walka praktycznie się skończyła, a bojowcy się ukrywali. Niemcy palili dom po domu, szukali z psami schronów i wyprowadzali z nich ludzi na Umschlagplatz, wysyłali do obozów pracy. Trwało to do 16 maja. Wtedy na rozkaz Jürgena Stroopa, komendanta policji i SS, wysadzono wielką synagogę na ulicy Tłomackie, która stała tam, gdzie dziś jest plac Bankowy. Było to symboliczne zakończenie likwidacji żydowskiej dzielnicy w Warszawie. Wcześniej, 8 maja, wykryto bunkier dowództwa ŻOB przy ulicy Miłej 18. To są właśnie dwie symboliczne daty, wskazujące koniec samoobrony żydowskiej.

Cały czerwiec i lipiec Niemcy przeszukiwali domy getta, większość z nich burzyli i podpalali. Ludzie uciekali lub wychodzili i poddawali się. Niemcy wywieźli około 40 tysięcy. Część zabili na miejscu. Dziś szacuje się, że zamordowanych zostało bądź zginęło w płomieniach kilkanaście tysięcy ludzi. Do Treblinki, działającej do sierpnia 1942 roku, skierowano tylko jeden transport Żydów warszawskich, liczący prawie siedem tysięcy osób. Byli to najmłodszy spośród złapanych, wśród nich zapewne również bojowcy z getta. Resztę Żydów z

Warszawy wysłano do obozów pracy w Poniatowej i Trawnikach, gdzie przebywali do początku listopada 1943 roku, kiedy to Niemcy w ramach akcji "Erntefest", czyli "Dożynki", zlikwidowali wszystkie obozy pracy na Lubelszczyźnie i wymordowali wszystkich osadzonych w nich Żydów. Z Poniatowej przeżyły tylko dwie osoby.

Jaki był udział AK w przygotowaniach do powstania? Czy po jego wybuchu polskie podziemie udzieliło Żydom realnej pomocy?

AK dała nieco broni, nie było jej dużo. W komendzie okręgu warszawskiego dyskutowano o tym, jak można pomóc powstańcom, i zdecydowano się na dwie akcje pomocowe. Pierwszą przeprowadzono już pierwszego dnia, na Bonifraterskiej, drugą - dwa dni później na Okopowej. Obydwie skończyły się niepowodzeniem. Na Bonifraterskiej nie udało się zlikwidować niemieckiego punktu ogniowego, na Okopowej nie wybuchła przygotowana wcześniej mina. Pomoc była więc zupełnie nieefektywna i w zasadzie AK w ogóle realnie nie pomogła ani bojowcom, ani ludziom uwięzionym w getcie.

Znaczenie miało jednak co innego. Wcześniej o transportach Żydów do Treblinki było względnie cicho, a polskie podziemie słabo orientowało się w tym, co się dzieje z mieszkańcami warszawskiego getta - dopiero w październiku 1942 roku ukazały się pierwsze artykuły w prasie konspiracyjnej i zaczęto wysyłać raporty do Londynu. Natomiast od pierwszego dnia powstania w getcie w środowisku polskiej konspiracji zrobiło się o nim bardzo głośno. Od razu pojawiły się artykuły opisujące opór warszawskich Żydów. Już w pierwszym numerze wychodzącego co tydzień "Biuletynu Informacyjnego Komendy Głównej AK" z okresu powstania ukazał się dość obszerny artykuł o bohaterskim oporze Żydów. Zaczęto bardzo głośno nawoływać do

udzielania pomocy powstańcom, wspierania ich, okazywania sympatii uciekinierom. Ton artykułów był bardzo podniosły: oto Żydzi pokazali, jak należy się bronić, a walka ma znaczenie. Oprócz tego codziennie szły do Londynu nadawane przez konspiracyjną radiostację wiadomości o sytuacji w getcie. Meldunki te wysyłał głównie szef Kierownictwa Walki Cywilnej, Stefan Korboński, pseudonim "Nowak" lub "Zieliński". Były to bardzo krótkie szyfrogramy. Władze emigracyjne w Londynie bardzo szybko poinformowały o nich Anglików. Akcja informacyjna miała więc duże znaczenie. W czasie palenia getta nadano bardzo ważną, utrzymaną w podniosłym tonie audycję radiową z przemówieniem premiera Władysława Sikorskiego, w którym wyraził wielkie uznanie dla powstańców. Odczytany został wtedy przekazany przez konspirację list Mordechaja Anielewicza do komendanta AK, co miało wielkie znaczenie symboliczne.

Jakie były dalsze losy powstańców?

Uratowało się niewielu. Z ŻZW zginęli prawie wszyscy - wyzwolenia doczekały zaledwie trzy osoby. Z getta udało się wyjść łącznie około osiemdziesięciu ŻOB-owcom, drugą grupę jeden z bojowców, Kazik Ratajzer, wyprowadził kanałami, przez właz przy Prostej. Wywieziono ich potem, ukrytych w dwóch ciężarówkach, za miasto, na północ, do Łomianek. Większość z tych ludzi przeżyła - byli wśród nich Marek Edelman i jedna z bardziej znanych aktywistek młodzieżowej organizacji syjonistycznej Dror, Cywia Lubetkin. Część z nich zginęła wydana przez jakiegoś Polaka, a pozostali - między innymi Icchak Cukierman, mąż Cywii Lubetkin, oraz Marek Edelman - stworzyli zrab plutonu Żydowskiej Organizacji Bojowej, który wziął później udział w powstaniu warszawskim.

Icchak Cukierman w czasie powstania nie

przebywał w getcie. Był on kimś w rodzaju delegata ŻOB i dwa dni przed wybuchem powstania został wysłany na aryjską stronę, żeby koordynować kontakty z polską konspiracją. Jego poprzednik wpadł, jego samego też uratowano cudem. Takich udokumentowanych, bardzo szczegółowych historii poszczególnych ludzi jest sporo, stanowią one szalenie ważny fragment okupacyjnego losu żydowskiego. Wszystkie razem łączą się w znany powszechnie na świecie symbol oporu, oddania, bohaterstwa, który często tłumi czy też zakrywa wiedzę o losach Warszawy w ogóle, a szczególnie o powstaniu warszawskim.

Powstanie warszawskie jest za granicą często mylone z powstaniem w getcie. Z czego to wynika?

Te dwa wydarzenia zlewały się z różnych względów. Po wojnie bardzo niechętnie mówiono o powstaniu warszawskim 1944 roku, chciano zatrzeć po nim ślad. Obchody jego rocznic były przez bardzo długi czas nielegalne. Później o bohaterstwie Warszawy w 1944 roku mówiono bardzo ogólnie, nie wspominając, kto tym powstaniem dowodził i kto w nim walczył. Dlatego dobrze było przywoływać epizod zrywu żydowskiego i zniszczenia getta, bo on dawał się wykorzystywać propagandowo. Tego, co stało się w getcie, współcześnie nie nazywano powstaniem - to był po prostu opór Żydów lub co najwyżej samoobrona. Nazwa, którą się dziś posługujemy, mówiąc o tych wydarzeniach, zaczęła funkcjonować dopiero po wojnie. Przyczyniły się do tego władze komunistyczne, które bardzo wspierały podniosłe nazywanie samoobrony żydowskiej.

Z jednej strony o latach wojennych w Warszawie trzeba było coś mówić, a z drugiej - akurat powstanie warszawskie z różnych względów nie było tym, o czym Rosjanie mówić by chcieli.

Otóż to. Jest to również kwestia recepcji wiedzy o tych wydarzeniach przez społeczeństwo oraz zmieniających się sposobów jego upamiętniania. Pomnik Bohaterów Getta autorstwa Natana Rapaporta powstał już w 1948 roku i stoi do dziś. W piątą rocznicę zrywu żydowskiego odbyły się wielkie obchody. Propagandowo komuniści wykorzystywali powstanie w stu procentach. Wszyscy akowcy byli jeśli nie prześladowani, to po okresie złagodzenia polityki i amnestii w 1947 roku odsuwani w cień. Dowództwo Armii Krajowej i powstania 1944 roku było potępiane.

Czy te dwa zrywy są w jakimś sensie porównywalne?

Tych dwóch powstań nie można porównywać i - co jest teraz modne - zestawiać ich ze sobą. Zbliżone były tylko bohaterstwo żołnierzy i bojowców oraz cierpienia ludności cywilnej - ludzie kryli się w piwnicach, byli narażeni na gwałty, na egzekucje. Zakres, rozmiar, długość i intensywność prowadzonych walk, liczba zaangażowanej w wydarzenia ludności są nieporównywalne. W 1944 roku było wielkie powstanie, angażując wielotysięczne oddziały żołnierzy z Armii Krajowej, którzy brali czynny udział w walkach, gdy rok wcześniej walczyło dosłownie kilkaset osób, mających tyleż pistoletów. Trudno też porównywać przebieg walk - powstańcy warszawscy odnosili militarne sukcesy w trakcie walk, zdobywali różne obiekty, likwidowali grupy niemieckie. Żydzi natomiast byli tylko w stanie dać wyraz swojemu bohaterstwu.

Jakie były straty Niemców?

Nie wiemy dokładnie, ilu ich zginęło. Według raportu dowódcy sił niemieckich, Jürgena Stroopa, zastrzelono sześciu Niemców i dziesięciu "Trawników", a kilkudziesięciu żołnierzy i policjantów

raniono. Możliwe, że Stroop zaniżył własne straty w raportach dla przełożonych, ale pistolety nie mogły Niemcom wyrządzić wiele krzywdy, bo nie nadają się do działań tego rodzaju. Bojowcy z ŻOB mieli dosłownie kilka karabinów, możliwe nawet, że tylko jeden.

W powszechnej świadomości powstanie w getcie warszawskim było jedynym aktem oporu Żydów podczas drugiej wojny światowej.

Do podobnych aktów oporu doszło też w innych gettach. Młodzieżowe środowiska konspiracyjne powstały w naturalny sposób we wszystkich gettach.

Niemcy likwidowali społeczności żydowskie w wyrafinowany sposób. Rzadko i tylko w małych miejscowościach zdarzało się, aby Niemcy zlikwidowali taką społeczność jednorazową akcją. Zazwyczaj ich działania podzielone były na kilka etapów - im większe getto, tym etapów było więcej. Jednorazowa likwidacja całej dużej społeczności żydowskiej miałaby nieporównywalnie większy wpływ na całe otoczenie. Niemcy nie chcieli wystraszyć ludności polskiej. Chcieli też maksymalnie wykorzystać tych Żydów, którzy byli przydatni do pracy. W miastach i miasteczkach było przecież sporo specjalistów, rzemieślników potrzebnych do obsługi sił okupacyjnych. Większość stolarzy, szklarzy, murarzy to byli przeważnie właśnie Żydzi - taki był podział pracy między Polakami i Żydami przed wojną.

Najpierw wysyłano do ośrodków zagłady osoby starsze i dzieci, nieprzydatne Niemcom. Zostawiano osoby nadające się do pracy przymusowej i te, które tworzyły administrację wewnątrz getta, czyli członków rady żydowskiej, żydowskich policjantów. Później robiono selekcję - wywożono do ośrodka zagłady, do Treblinki lub do Auschwitz, na przykład co piątego lub co czwartego Żyda. W

pewnym momencie rzemieślników żydowskich zostawała już garstka, a wtedy przychodził rozkaz ich zabicia, uczynienia miejscowości *judenfrei* - wolnej od Żydów.

Dlatego też najdłużej dawali sobie radę i ukrywali się najsilniejsi, młodzi, najodważniejsi. I oni w pewnym momencie, widząc, że Niemcy nie zostawiają ich w spokoju, decydowali się na działalność konspiracyjną. Często uciekali do lasu i tam próbowali się ukrywać - albo w ostateczności, jeśli nic innego nie dało się zrobić, dać chociaż wyraz tej nienawiści i pragnienia walki z Niemcami. Do takich wystąpień doszło w kilku gettach: we Lwowie, w Będzinie i w Białymstoku oraz w Częstochowie. Zwykle zrywy te trwały parę godzin, ograniczały się do dwóch-trzech domów, w których broniła się grupa bojowców uzbrojonych w kilka pistoletów, parę butelek z benzyną. Zdarzały się i takie dramatyczne wydarzenia w ośrodkach

zagłady, jak bunt w Treblince 2 sierpnia 1943 czy bunt i ucieczka z Sobiboru 15 października. Najbardziej spektakularny był bunt komanda obsługującego krematoria i komory gazowe w Birkenau. Często o tych wydarzeniach zapominamy, bo trwały zaledwie parę godzin i nie mogły zmienić ani losu Żydów, ani losów wojny, nawet na małym obszarze.

Większość z tych, którzy nie godzili się na wysyłanie do komór gazowych, wraz z rodzinami uciekała do lasu. Jeśli była tam grupa młodych ludzi mających jakieś kontakty ze środowiskami polskimi, tworzone tak zwane obozy rodzinne w środku lasów. Mieszkały w nich również kobiety z dziećmi. Mężczyźni zdobywali broń, wchodzili w porozumienie, a bardzo często także w konflikt z polską partyzantką czy też z oddziałami złożonymi z jeńców-uciekinierów z obozów dla Rosjan. Takie obozy istniały aż do samego końca wojny.

Dr **Andrzej Żbikowski** - historyk, pracownik naukowy Żydowskiego Instytutu Historycznego i Biura Edukacji Publicznej Instytutu Pamięi Narodowej, autor m.in.: *Pamięć. Historia Żydów Polskich przed, w czasie i po Zagładzie* (2005); *U genezy Jedwabnego. Żydzi na Kresach Północno-Wschodnich II Rzeczypospolitej, wrzesień 1939-lipiec 1941* (2006).

K. G.

Ilustracja: fotografia z raportu Stroopa przedstawiająca SS-manów podczas tłumienia powstania na Nowolipiu, [National Archives](#), CC-BY-NC.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Hołd Pruski



Dwa i pół wieku zmagania Polski z państwem Zakonu Krzyżackiego zakończyło się na krakowskim rynku, gdy Albrecht Hohenzollern, ostatni mistrz zakonu, złożył królowi polskiemu Zygmuntovi I Staremu hołd lenny, zwany później hołdem pruskim. Fakt ten znany jest powszechnie w społeczeństwie głównie dzięki poruszającemu obrazowi Jana Matejki.

Hołd był krokiem milowym w stosunkach polsko-krzyżackich, a potem polsko-pruskich, choć należy zauważyć, że pewne podstawowe ustalenia pozostawały niezienne. Państwo krzyżackie już od roku 1466, w którym zawarto II pokój toruński, było lennem polskim. Hołd pruski ten stan rzeczy jedynie potwierdzał. Każdy mistrz zakonu musiał złożyć hołd królowi polskiemu, choć często się opierał. To samo zrobił Hohenzollern.

Na czym więc polegała doniosłość tego wydarzenia? Istotne były tu zmiany w państwie zakonnym. Albrecht zdecydował się na jego sekularyzację, czyli zeświecczenie. Uciekając przed gniewem papieża, ostatni wielki mistrz przeszedł na luteranizm. W ten sposób powstało nowe państwo - Prusy książęce, którego dziedzicznym księciem został właśnie Albrecht. Należała mu się także godność senatora polskiego - by, uczestnicząc w decyzjach wagi państwowej, brał także za nie odpowiedzialność. Dziedziczni książęta pruscy z reguły lepiej

wywiązywali się ze swych powinności względem królów polskich niż wielcy mistrzowie. Pozostawiali lennikami Polski aż do roku 1657, kiedy to relacje między państwami zmienił potop szwedzki.

KM

Z dr. **Igorem Kąkolewskim**
rozmawia Ewa Zientara

Dlaczego za panowania Zygmunta I doszło do kryzysu w stosunkach polsko-krzyżackich?

Korzenie kryzysu sięgały jeszcze połowy XV wieku. Na mocy tak zwanego II pokoju toruńskiego, kończącego w sumie zwycięską dla Polski wojnę trzynastoletnią z lat 1454-1456, Zakon musiał przyjąć niezbyt korzystne dla siebie zobowiązania i zgodzić się na przyłączenie do Polski wschodniej części Prus Krzyżackich, zwanej odtąd Prusami Królewskimi. Oprócz tego kolejni wielcy mistrzowie mieli składać przysięgę na wierność i dotrzymanie postanowień pokojowych królowi polskiemu jako "panu pruskiemu i dziedzicowi". Historycy polscy skłonni są interpretować układ, jaki się wytworzył na podstawie postanowień z 1466 roku, jako dość typowy dla średniowiecza stosunek lenny między seniorem a wasalem. Odtąd wielcy mistrzowie, którym przyznano miejsce w senacie koronnym, zostali zobowiązani służyć królowi radą, a także udzielać pomocy militarnej Koronie Polskiej. Problem polegał jednak na tym, że papieństwo, wciąż formalnie pozostające najwyższym zwierzchnikiem Zakonu, oficjalnie nie zatwierdziło traktatu toruńskiego. To z kolei dało asumpt krzyżakom do podważania mocy prawnej postanowień pokojowych.

Sytuacja zaostrzyła się szczególnie na przełomie XV i XVI wieku, za rządów dwóch ostatnich wielkich mistrzów, Fryderyka Saskiego (1498-1510) i Albrechta Hohenzollerna (1511-1525), którzy konsekwentnie odmawiali złożenia

przysięgi wierności polskiemu monarsze. Co gorsza, Albrecht - *nota bene* spokrewniony z Jagiellonami przez swą matkę, a siostrę Zygmunta I - rozpoczął szybko budowanie wrogich Polsce międzynarodowych sojuszy, między innymi z Habsburgami i Wielkim Księstwem Moskiewskim, w celu podważenia ustaleń pokoju toruńskiego i odzyskania ziem utraconych wtedy przez Zakon. Mimo że dzięki zręcznym pociągnięciom dyplomatycznym Zygmunтови udało się zneutralizować Habsburgów, niepokojem napawała go wroga postawa prącego do konfrontacji Albrechta Hohenzollerna. W 1517 roku wielki mistrz zawarł przymierze zaczepno-odporne z władcą moskiewskim Wasylem III i czynił dalsze przygotowania do wojny z Polską. W tej sytuacji pod koniec 1519 roku strona polska, ubiegając rozwój wypadków, sama zdecydowała się na wypowiedzenie wojny.

Wojna polsko-krzyżacka z lat 1519-1521 toczyła się ze zmiennym szczęściem i *de facto* pozostała nierozstrzygnięta. Mimo potencjalnej przewagi polskiej, Albrecht okazał się utalentowanym dowódcą, potrafiącym w trakcie szybkich kampanii zadać przeciwnikowi dotkliwe straty, a nawet uzyskać pewne zdobycze w Prusach Królewskich. Jednak krzyżacy szybko zaczęli odczuwać brak środków finansowych do kontynuowania działań militarnych. Podobnie z tarapatami finansowymi borykał się Zygmunt, a szlachta polska była coraz bardziej niezadowolona zarówno z polityki wewnętrznej króla, jak i braku jasnej koncepcji strategicznej w kampaniach przeciw Zakonowi. W tej sytuacji polski monarcha zgodził się przyjąć pośrednictwo

cesarza Karola V Habsburga i króla Węgier Ludwika Jagiellończyka w rozwiązaniu sporu o przysięgę wielkich mistrzów. Pod wpływem rozjemców 5 kwietnia 1521 roku zawarto tak zwany kompromis toruński "czteroletni rozejm, na którego mocy obie strony miały tymczasowo zatrzymać swe zdobycze terytorialne i oczekiwać wyniku habsbursko-węgierskiego rozjemstwa.

Dlaczego Albrecht Hohenzollern w 1525 roku zdecydował się na sekularyzację Prus i przyjęcie luteranizmu oraz złożenie hołdu Zygmuntowi I?

To bardzo ciekawe pytania, a odpowiedź na nie jest wielowątkowa. Na początku XVI wieku okrojonomu terytorialnie po 1466 roku Państwu Zakonnemu ze stolicą w Królewcu brakowało podstawowej funkcji, dla której zostało utworzone w wieku XIII "walki z poganami i wrogami chrześcijaństwa, skoro takowych oficjalnie od chrztu Litwy w 1386 roku w sąsiedztwie nie było. Stąd brały się postulaty wysuwane przez polską dyplomację pod adresem Zakonu. Tak na przykład w 1511 roku prymas Jan Łaski zaproponował, aby król polski sam został wielkim mistrzem Zakonu - jego następcy mieli nie wstępować w związki małżeńskie - i wcielił jego terytorium do Korony Polskiej, Albrechtowi zaś wypłacił odpowiednie odszkodowanie. Projekt ten odrzucił jednak nie tylko sam Hohenzollern, ale też Zygmunt I - w obawie, że rozwiązanie takie mogłoby doprowadzić do wygaśnięcia dynastii. Z kolei w 1512 roku strona polska zaproponowała, aby Zakon przyjął na siebie obowiązek dostarczania wsparcia militarnego w walce z muzułmańskimi Tatarami i Turkami, zagrażającymi południowo-wschodnim kresom Polski. W zamian proponowano nadanie krzyżakom dodatkowego uposażenia na Rusi Czerwonej i w Małopolsce. W podobnym kierunku zmierzała jeszcze bardziej radykalna propozycja polska: rezygnacji

przez Zakon z władztwa w Prusach i przejęcia w zamian Podola, nękanego ciągłymi najazdami tatarskimi. Albrecht i jego doradcy odrzucili także i te propozycje. Nie zgodzili się nawet na sugerowane przez papieżstwo tymczasowe przejęcie Podola jako lenna z rąk polskich pod warunkiem obrony tej ziemi przed Tatarami. Jak widać, rycerze w białych habitach z czarnymi krzyżami, zwłaszcza z pruskiej gałęzi Zakonu - gałąź niemiecka i inflancka były wobec polskich propozycji nastawione bardziej kompromisowo - bynajmniej nie kwapili się do podjęcia "statutowych" celów, dla jakich ich Zakon został powołany.

Równolegle postępował proces laicyzacji Zakonu, zwłaszcza od przełomu XV i XVI wieku "odkąd na urząd wielkiego mistrza zaczęto powoływać członków rodów książęcych z Rzeszy Niemieckiej. Zarówno Fryderyk Saski, jak i Albrecht Hohenzollern starali się wprowadzić nowe, bardziej świeckie sposoby administracji państwem zakonnym w Prusach, w sprawach polityki dopuszczając do głosu zarówno zagranicznych świeckich doradców, jak i przedstawicieli rodzimej świeckiej szlachty ze znaczniejszych rodów. Również tryb życia wielkich mistrzów oraz ich zakonnych współbraci coraz bardziej się laicyzował i odchodził od dawnych surowych reguł życia monastycznego. Z kolei do Prus Krzyżackich trafiały nowe idee humanistyczne, wyrażające krytycyzm wobec tkwiącego w głębokim kryzysie ówczesnego Kościoła. Docierały do państwa zakonnego zarówno za pośrednictwem świeckich poddanych Zakonu, odbywających studia zagranicą, głównie w Krakowie i na uniwersytetach niemieckich, jak i świeckich doradców wielkich mistrzów, przybyłych do Prus z krajów niemieckich.

Największą rolę w rozwoju wypadków odegrał jednak wybuch i szybkie rozprzestrzenianie się reformacji,

zapoczątkowane słynnym wystąpieniem Marcina Lutra w 1517 roku. Poglądom ojca reformacji sprzyjali już na początku lat dwudziestych dwaj ściśle współpracujący z Albrechtem biskupi pruscy " sambijski Jerzy Polentz oraz pomeziański Erhard Queiss. Idee reformacyjne docierały do państwa zakonnego między innymi za pośrednictwem powracających tu z Niemiec studentów. Trafiały one na podatny grunt zwłaszcza wśród świeckich poddanych Zakonu. Decydujący wpływ na decyzję Albrechta Hohenzollerna o sekularyzacji wywarło jego osobiste spotkanie z Marcinem Lutrem w Wittenberdze pod koniec 1523 roku. Reformator doradził mu wstąpienie w związek małżeński, rozwiązanie Zakonu oraz przekształcenie Prus w świeckie księstwo.

W tym samym czasie umiarkowane kręgi polskiej dyplomacji zaczęły wysuwać propozycje złożenia przez wielkiego mistrza jego godności na ręce króla polskiego. Polski monarcha w zamian nadałby mu dotychczasowe władztwo w Prusach jako świeckie lenno. Ostatecznie na początku 1525 roku Zygmunt I wraz z senatem oficjalnie zdecydował się na takie właśnie rozwiązanie. Po rokowaniach w marcu tego roku zarówno Albrecht, jak i przedstawiciele stanów pruskich wyrazili zgodę na ten krok. Rezultatem był podpisany w 8 kwietnia w Krakowie traktat pokojowy, nie tylko kładący kres wybuchłej w 1519 roku wojnie - a właśnie upływał termin wygaśnięcia czteroletniego rozejmu toruńskiego z roku 1521 - lecz także regulujący stosunki pomiędzy nowo powstałym świeckim księstwem w Prusach a Koroną Polską.

Korzyści z takiego załatwienia sprawy były obopólne. Obydwie strony unikały prowadzenia dalszej kosztownej wojny, strona polska zaś nie była odtąd zdana na pośrednictwo niezbyt jej przychylnych w tamtym czasie Habsburgów. Natomiast

Albrecht i jego zwolennicy nie musieli już dłużej drżeć przed planami snutymi przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Jana Łaskiego i jego zwolenników, domagających się wcielenia całości ziem pruskich bezpośrednio do Królestwa Polskiego. Uroczystym przypieczątowaniem traktatu krakowskiego stała się ceremonia, jaką wasal Albrecht Hohenzollern złożył swemu seniorowi Zygmuntowi I Staremu na rynku krakowskim 10 kwietnia 1525 roku.

Jak rozwiązano kwestię sukcesji w Prusach Książęcych? Czy było to korzystne dla Polski?

Na mocy postanowień traktatu krakowskiego z 1525 roku Prusy Książęce stawały się księstwem dziedzicznym. Kwestię następstwa tronu regulowały szczegółowo punkty 10 i 11. Do sukcesji zostali dopuszczeni wedle starszeństwa męscy potomkowie samego Albrechta, w razie zaś ich braku lub śmierci - potomstwo w linii męskiej jego trzech braci z frankońskiej gałęzi Hohenzollernów: Jerzego, Kazimierza i Jana. Z kolei w przypadku wymarcia wszystkich uprawnionych do sukcesji Hohenzollernów z linii frankońskiej terytorium księstwa miało zostać wcielone do Korony Polskiej, podobnie jak stało się z Prusami Królewskimi w 1466 roku.

Trzeba podkreślić z mocą, że traktat krakowski nie dopuszczał do sukcesji w Prusach Książęcych przedstawicieli najbardziej wpływowej linii Hohenzollernów, władającej w Elektoracie Brandenburgii. W sumie przyjęte w traktacie krakowskim rozwiązanie kwestii sukcesji pruskiej w niedalekiej przyszłości miało okazać się dla Polski dość korzystne, o czym jednak architekci traktatu nie mogli jeszcze wiedzieć. Sprawę wyjaśnia rzut oka na tablicę genealogiczną frankońskiej gałęzi Hohenzollernów. Otóż dopuszczeni do

przejęcia tronu w Księstwie Pruskim bracia Albrechta zmarli dość szybko, wydając na świat nieliczne potomstwo męskie. Ostatni męski potomek domu frankońskiego zmarł bezpotomnie na początku XVII wieku. Z kolei sam Albrecht, choć długowieczny - 1490-1568 - doczekał się tylko jednego syna, któremu udało się przeżyć okres niemowlęstwa " Albrechta Fryderyka, urodzonego w 1553. Ten ostatni wszakże już na początku lat siedemdziesiątych zapadł na chorobę psychiczną, najprawdopodobniej rodzaj schizofrenii, na którą cierpiał nieustannie aż do śmierci w roku 1618. Niezdolny do wykonywania osobistych rządów, doczekał się tylko żeńskiego potomstwa.

Tak oto Prusy Książęce w świetle postanowień krakowskich z 1525 roku powinny teoretycznie zostać wcielone do Polski w roku 1618. Niestety, na drodze stanęły decyzje poczynione za panowania Zygmunta III Wazy. W 1611 roku zgodził się on dopuścić do sukcesji w Prusach elektorską, brandenburską linię Hohenzollernów. Z niej to wywodził się znany później ze swej przebiegłej polityki w czasie szwedzkiego potopu Fryderyk Wilhelm, zwany Wielkim Elektorem, któremu udało się ostatecznie w 1660 roku rzucić polską zwierzchność lenną nad Księstwem Pruskim. Z kolei jego prawnuk, król Prus Fryderyk II Wielki, stał się głównym architektem I rozbioru Polski. Ale przecież o tym wszystkim nie mogli wiedzieć ani Zygmunt I Stary, ani jego doradcy.

Wydaje mi się, że błędem jest postrzeganie rozstrzygnięć z 1525 roku z perspektywy rozbiorów Polski, jak czynili to polscy historycy szkoły krakowskiej w drugiej połowie XIX wieku, choćby Michał Bobrzyński, który z kolei wywarł duży wpływ na malarską interpretację hołdu pruskiego przez Jana Matejkę. Zarówno Zygmuntowi I Jagiellończykowi, jak prawie sto lat później Zygmuntowi III Wazie w rozwiązywaniu kwestii sukcesji

w Prusach towarzyszyły cele bardziej pragmatyczne, choć bynajmniej nie krótkowzroczne. Chodziło im między innymi o rozwiązania pokojowe, umożliwiające koncentrację polityki zagranicznej na innych frontach, z ich punktu widzenia ważniejszych niż peryferyjnie położone Prusy Książęce. Jednak najistotniejszy moim zdaniem sukces dyplomacji polskiej zarówno w roku 1525, jak i 1611, polegał na pozyskaniu sprzymierzeńców wśród prominentnych rodów książęcych w Rzeszy Niemieckiej, którzy - powiązani węzłem lennym - mieliby reprezentować interesy Polski na arenie międzynarodowej.

Jak w Polsce i w Europie przyjęto hołd, jaki protestancki książę złożył katolickiemu monarsze?

Tutaj znowu nie możemy patrzeć na wydarzenia, jakie nastąpiły kilka lat po wystąpieniu Marcina Lutra, wyłącznie z perspektywy późniejszej o dziesiątki i setki lat, gdy podziały wyznaniowe w Europie utrwaliły się na dobre. Z pewnością z takiego punktu widzenia hołd pruski jawi się jako ewenement. W jego wyniku doszło przecież do powstania pierwszego państwa protestanckiego w Europie, i to pięć lat wcześniej niż ostatecznie zostało sformułowane luterzańskie wyznanie wiary, tak zwane augsburskie. Natomiast patrząc z perspektywy bliższej Lutrowi rzeczy przedstawiały się nieco inaczej. Mimo że jego nauki dość szybko zostały potępione przez papieżstwo i uznane za herezję przez katolicką większość, to przecież jeszcze przez następnych przynajmniej trzydzieści lat po obu stronach, ewangelickiej i katolickiej, pojawiały się nadzieje i plany przywrócenia jedności w łonie zachodniego chrześcijaństwa. Dlatego też przyjęcie hołdu ewangelickiego władcy przez katolickiego monarchę - oficjalnie zwalczającego zresztą postępy reformacji, na przykład w sąsiednich Prusach Królewskich - mógł być postrzegany w

pewnych pacyfistycznie i tolerancyjnie nastawionych kręgach humanistów przede wszystkim jako rezygnacja z polityki wojny na rzecz zaprowadzenia pokoju. Dlatego właśnie w swej korespondencji jeden z największych autorytetów tamtych czasów, Erazm z Rotterdamu, wychwalał pokojową politykę króla Polski w kwestii pruskiej.

Podobną argumentację przyjął zresztą sam Zygmunt I w liście do papieża Klemensa VII, w którym starał się usprawiedliwić swoje postępowanie troską o zabezpieczenie kraju i "całego chrześcijaństwa" przed konsekwencjami niszczącej wojny w Prusach. Ówczesną propagandową linię obrony strony polskiej przed oskarżeniami wspierania luteriańskiej "zarazy" dobrze przedstawia list biskupa przemyskiego Andrzeja Krzyckiego do legata papieskiego na Węgrzech. Spisany

pierwotnie po łacinie, stanowi prototyp dzisiejszych doniesień prasowych. Jego autor zwracał uwagę między innymi na to, że król Polski po hołdzie Albrechta Hohenzollerna będzie mógł lepiej skoncentrować się na istotniejszych dla całego chrześcijaństwa sprawach, jak choćby walka z turecką ekspansją. Poza tym "stwierdzał Krzycki" zawsze można żywić nadzieję na rychłe przywrócenie na łono Kościoła Prus Książących jako lenna podległego katolickiemu monarsze. Wychodząc z założenia, że najlepszą obroną jest atak, biskup przemyski z goryczą wypominał też poparcie udzielane przez katolickich Habsburgów i papieństwo krzyżakom w ich walce przeciwko Polsce. Jak widać, strona polska potrafiła całkiem umiejętnie odpierać głosy krytyki tych, którzy zarzucali królowi Polski jawne poparcie luteriańskiej "herezji".

Prof. Igor Kąkolewski - historyk, zajmuje się historią nowożytną ze szczególnym uwzględnieniem Prus. Pracuje w Niemieckim Instytucie Historycznym w Warszawie. Opublikował m.in.: *Nadużycia władzy i korupcja w Prusach Książących w połowie XVI wieku. Narodziny państwa wczesnonowożytnego* (2000).

Ilustracja: obraz Jana Matejki *Hołd pruski* z 1882 r., Wikimedia Commons, domena publiczna.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Rozstrzelanie pierwszych polskich oficerów w Katyniu



We wrześniu 1939 roku na wschodzie II Rzeczypospolitej do niewoli sowieckiej dostało się 250 tys. polskich żołnierzy. Zostali oni wbrew konwencjom międzynarodowym umieszczeni przez NKWD w specjalnych obozach jenieckich. Po początkowym okresie chaosu, kiedy to zdarzały się częste ucieczki zatrzymanych, część szeregowych i podoficerów wysłano do obozów pracy, z kolei oficerów, policjantów, żandarmów oraz funkcjonariuszy Korpusu Ochrony Pogranicza, zagrażających porządkowi na okupowanych przez ZSRR ziemiach, odseparowano od reszty i umieszczono w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie.

Wyselekcjonowani Polacy byli nierzadko rezerwistami, którzy przed wybuchem II wojny światowej pracowali jako prawnicy, lekarze, nauczyciele lub urzędnicy państwowi, stanowiąc elitę kraju. Początkowo NKWD próbowało przez indoktrynację ideologiczną oraz rozmowy pozyskać osadzonych żołnierzy dla przyszłych celów politycznych Józefa

Stalina. Działania te – poza nielicznymi wyjątkami – nie przyniosły żadnych efektów, zaś jeńcy nadal postrzegali ZSRR w kategoriach agresora i przeciwnika, który wbił Polsce „nóż w plecy” podczas walk z Niemcami.

2 marca 1940 roku szef NKWD Ławrientij Beria postanowił w sposób radykalny

rozwiązać sprawę więzionych oficerów i wystosował do najwyższych władz ZSRR wniosek o rozstrzelanie przetrzymywanych. Trzy dni później propozycja została zaakceptowana przez Biuro Polityczne KC WKP (b) w tajnej uchwale. Na jej mocy 3 kwietnia 1940 roku ruszył pierwszy „transport śmierci” do Katynia. Zapoczątkował on egzekucje polskich jeńców zabijanych strzałami w tył głowy z broni krótkiej. Ciała ofiar mordów (ponad 21 tys. osób) były chowane przez Sowieców w masowych grobach, które później odkryto w Lesie Katyńskim, Miednoje, Bykowni oraz Piatichatkach pod Charkowem.

Informacja o zbrodni dokonanej przez aparat bezpieczeństwa ZSRR po raz pierwszy mogła dotrzeć do światowej opinii publicznej 13 kwietnia 1943 roku, kiedy to niemieckie radio przekazało swoim słuchaczom wiadomość o odkryciu w miejscowości Kosogory nieopodal Katynia grobów polskich oficerów. Sowieci, na czele ze Stalinem, od początku zaprzeczali, jakoby to oni mieli stać za masowymi zabójstwami, oskarżając o sprawstwo Niemców. Dopiero po upadku ZSRR, w 1992 roku prezydent Rosji Borys Jelcyn, przekazując Polsce kopie dokumentów dotyczących Katynia, ostatecznie przyznał, kto ponosi winę za zaplanowanie i przeprowadzenie tego ludobójstwa.

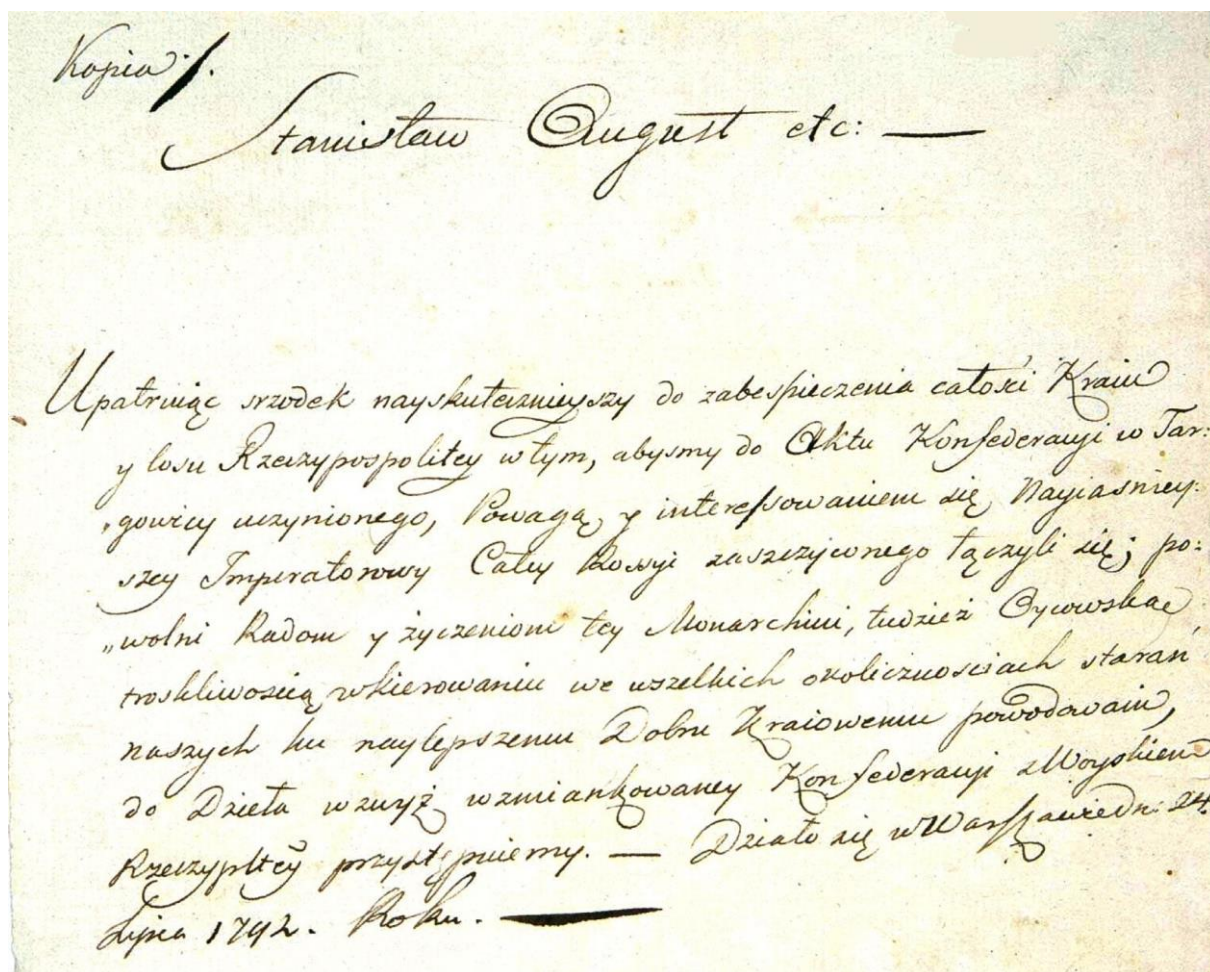
Paweł Cichocki

Zdjęcie: *Masowy grób – ekshumacja 1943*, [Wikipedia](#), Domena Publiczna.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski



Konfederacja targowicka



Z dr. **Piotrem Ugniewskim**
rozmawia Wojciech Kozłowski

Targowica jest postrzegana jako synonim zdrady narodowej. Czy w świetle najnowszych badań tak zdecydowany osąd pozostaje w mocy?

Targowica jak najbardziej powinna kojarzyć się ze zdradą narodową. Trzeba tylko zrobić zastrzeżenie, że pod tym

pojęciem kryje się konfederacja zawiązana przez garstkę osób pod protektorem rosyjskim. Gdyby nie bardzo konkretne wsparcie i interwencja wojskowa Rosji w roku 1792, zapewne w ogóle do niej by nie doszło. Pamiętajmy, że tworzyło ją zaledwie trzech polityków, choć ważnych: Stanisław Szczęśny Potocki, Franciszek Ksawery Branicki i Seweryn Rzewuski. Dwaj ostatni byli hetmanami, czyli jakby staropolskimi ministrami obrony, Potocki

natomiast reprezentował największy ród magnacki w Polsce. Mimo to mieli niewielkie zaplecze. Kiedy Targowica się zawiązywała - oficjalna data 14 maja 1792 jest fikcyjna, w rzeczywistości powstała prawie trzy tygodnie wcześniej w Petersburgu - sygnowało ją, oprócz tych trzech magnatów, zaledwie dziewięciu konsyliarzy, czyli radców Konfederacji, oraz sekretarz. Było to zatem bardzo wąskie grono, dysponujące jednak potężnym wsparciem stutysięcznej armii rosyjskiej, która już 18 maja 1792 roku wkroczyła na terytorium Rzeczypospolitej. Bez tego zbrojnego ramienia to przedsięwzięcie polityczne nie miało szans realizacji.

Oto więc garstka ważnych osób decyduje się na przywrócenie starego porządku przy wsparciu armii rosyjskiej. Skąd w ogóle wzięła się ta słabość magnaterii do Rosji? Gdy rozpoczyna się wielka wojna polsko-rosyjska, mówi się o wojnie w obronie Konstytucji. Widać jednak, że szlachta jest mało zdeterminowana do walki z Rosją - przeważa niepewność i wahanie, które nie pomagają Kościuszcze ani pozostałym dowódcom. Jak można to wyjaśnić?

Wpływ Rosji na sprawy wewnętrzne Polski był bardzo zadawniony, bo sięgał na pewno czasów panowania Augusta II Sasa i Piotra Wielkiego, a za datę symboliczną ustanowienia rosyjskiego protektoratu nad Rzeczpospolitą przyjmuje się rok 1717. Potem ta zależność przyjmowała różne formy, ale nie wolno zapomnieć, że dla elity politycznej i mas szlacheckich ingerencja Rosjan w sprawy Rzeczypospolitej na rozmaite sposoby oraz obecność ich wojsk były pewnym "stanem normalnym". Dotyczyło to zwłaszcza czasów Stanisława Augusta, który przecież został wybrany na króla z towarzyszeniem armii carskiej, "wolna elekcja" nie była zatem całkiem wolna. Później, od roku 1764, Rosjanie niemal stale w Polsce stacjonowali. Trudno się

zatem dziwić, że Polacy byli do protektoratu rosyjskiego w jakimś sensie przyzwyczajeni.

Z drugiej jednak strony Sejm Wielki i jego moment kulminacyjny w postaci uchwalenia Konstytucji 3 maja to była wielka próba zerwania tej zależności, wybitcia się na niepodległość, i to próba do pewnego momentu udana.

Czy mamy tu do czynienia z kryzysem postaw propaństwowych, patriotycznych ze strony szlachty, czy raczej po prostu z gigantyczną przewagą militarną Rosji?

Na ten temat dyskutuje się już od dwustu lat i wciąż nie brak rozbieżności. Uważam, że nie można mówić o jakimś kryzysie postaw patriotycznych w społeczeństwie. Pamiętajmy, że w Polsce pod koniec XVIII wieku świadome społeczeństwo stanowiła szlachta i część mieszczaństwa. Ono jednak chętnie wzięło udział w tej próbie emancypacji spod wpływów rosyjskich. Po uchwaleniu Konstytucji 3 maja w lutym 1792 roku, a więc na trzy miesiące przed rosyjską interwencją zbrojną, odbyły się sejmiki relacyjne, na których oficjalnie zakomunikowano społeczeństwu szlacheckiemu uchwalenie Konstytucji. Została ona niemal wszędzie poparta, mniej lub bardziej wyrażnie. Na tle tego sukcesu sejmików relacyjnych tym bardziej widać, jak znikomą garstką byli targowiczanie, zwłaszcza na początku, gdy wkraczali z wojskami rosyjskimi w granice Rzeczypospolitej.

W sensie masowym nie można więc mówić o kryzysie postaw patriotycznych. Zresztą Sejm Wielki odbywał się w stanie - nazwijmy to - patriotycznej gorączki. Świadczą o tym tysiące pism publicystycznych, żywe debaty oraz pewna marginalizacja konserwatystów malkontentów. Niewielkie poparcie dla nich zmusiło ich do szukania oparcia w Rosji.

Opracowania sugerują, że wielki entuzjazm po uchwaleniu Konstytucji 3 maja trwał krótko. Gdy doszło do wojny, miała ona dość dziwny przebieg. Nie udało się powołać stu tysięcy żołnierzy, a jedynie około sześćdziesięciu, szlachta niespecjalnie chciała iść na zaciąg, przez dłuższy czas podchodząc do walki z pewną rezerwą. Nie widać tutaj takiej zdecydowanej postawy jak chociażby we wrześniu 1939.

Porównywanie wydarzeń tak odległych w czasie wydaje się raczej ryzykowne, ale rozumiem, do czego Pan zmierza - chodzi o postawę wobec obcej agresji. Jeszcze raz należy podkreślić dysproporcję sił. Rosjan weszło sto tysięcy, a przecież nie była to cała armia rosyjska. W razie potrzeby mogli ściągnąć drugie tyle z granic swojego imperium. My z kolei mieliśmy nawet mniej niż sześćdziesiąt tysięcy, a wzdłuż granic było poniżej pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy, czyli Rosjanie przewyższali nas dwukrotnie liczebnością. Ponadto dysponowali doświadczeniem kilkuletniej wojny z Turcją, a polska armia nie była nawet ostrzelana. Zatem faktyczna przewaga rosyjska była naprawdę bardzo duża i według mnie nie było militarnych szans sukcesu. Można się oczywiście spierać, czy ten opór mógł być twardszy i trwać dłużej, ale ostateczne zwycięstwo musiało należeć do Rosjan.

Istotną rolę odgrywały jednak także inne czynniki. Elita sejmowa, która uprzednio doprowadziła do uchwalenia Konstytucji 3 maja, jak również król, trwali w przekonaniu, że wojna ma mieć właściwie charakter zbrojnej demonstracji. Słynne są słowa króla, często cytowane w podręcznikach, że chce raczej walczyć piórem niż orężem. Po zmanifestowaniu sprzeciwu zamierzano później porozumieć się z imperatorową Katarzyną II, co w efekcie doprowadziłoby do ocalenia znacznej części dorobku Sejmu Wielkiego.

Ale świadczyłoby to o tym, że sukcesu

zabrakło?

Muszę przyznać, że ta sprawa jest niezwykle skomplikowana. Nie ma tu prostej odpowiedzi. Sprawa polska była z kolei uwikłana w sytuację europejską. To był moment szczególny, jako że równolegle trwała rewolucja francuska. W kwietniu 1792 roku Francja wypowiedziała wojnę Austrii. W odpowiedzi powstała pierwsza koalicja antyrewolucyjna, do której należeli wszyscy trzej nasi zaborcy. Zdecydowano, że Polska może wynagrodzić wysiłek militarny Austrii, Prus i Rosji skierowany przeciwko Francji. Okazało się bowiem, że ta stawiała silny opór, a Polska była przeciwnikiem łatwiejszym i lepiej usytuowanym geopolitycznie.

Trudno, żeby Rosjanom zależało na jakichś ziemiach we Francji.

Właśnie. Tam można było mówić o potencjalnych zyskach terytorialnych, ale tylko dla Prus i Austrii. Rosjanie musieli dostać coś innego, coś bliżej. A bliżej była Polska, stąd kalkulacja króla oraz twórców Konstytucji 3 maja się nie powiodła. Nie można mieć do nich nadmiernych pretensji, bo bez względu na to, co by zrobili, Rosja i Prusy szukały rekompensat terytorialnych naszym kosztem.

Czy Pańskim zdaniem Rosjanie potrzebowali targowiczów do interwencji? Czy też była to idea Polaków, którą Katarzyna II wykorzystała po swoim?

Takie były tradycje polityki rosyjskiej wobec Polski. Podobne sposoby stosowano już wcześniej, a Rosjanie zwykle chcieli mieć polskich partnerów politycznych. Tak było w różnych konfiguracjach od czasów Augusta II.

Poza tym Katarzyna, jako władczyni oświecona, lubiła uchodzić za legalistkę. Nie chciała zatem, żeby ta operacja wyglądała na napaść zbrojną, tylko aby

miała pozory interwencji na rzecz strony rzekomo skrzywdzonej. Targowiczanie wmawiali opinii szlacheckiej w Polsce, jak również i Katarzynie - czego ona oczywiście chętnie słuchała - że Konstytucja 3 maja obaliła wolność w Polsce. Tym sposobem caryca znalazła uzasadnienie swej zbrojnej agresji,

ponieważ Rosjanie dwukrotnie w czasach stanisławowskich - w roku 1768 i potem w latach 1773-1775 na Sejmie pierwszego rozbioru - gwarantowali formę ustroju Rzeczypospolitej i jej nienaruszalność. Taki był tytuł prawny interwencji, a z kolei zręcznie było ją przeprowadzić na prośbę tych rzekomo skrzywdzonych.

Prof. **Piotr Ugniewski** - pracownik Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się historią nowożytną. Autor m.in.: *Między absolutyzmem a jakobinizmem. "Gazeta Lejdejska" o Francji i Polsce 1788-1794* (1998).

Fotografia: akces Stanisława Augusta Poniatowskiego do Targowicy, Wikimedia Commons, domena publiczna.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski



wykrywacze metali
PEN ELEKTRONIK
GWARANCJA SUKCESU
SOLFERNUS

dzwoń już teraz
504 458 599
58 551 42 98

www.wykrywacze.com.pl
wykrywacze@wykrywacze.com.pl

Podpisanie Konstytucji kwietniowej

Projekt Konstytucji uchwalono na posiedzeniu Sejmu 23 marca 1935 r. w obecności 399 posłów, większością 260 głosów. Poprawki senackie rozpatrywano w trybie poprawek zwykłej ustawy, nie zaś w trybie dyskusji nad projektem konstytucji, który wymagał większości dwóch trzecich głosów.

Tekst Konstytucji opierał się na tezach, które opracował w 1933 poseł Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem Stanisław Car. Tezy te poddane zostały pod obrady Sejmu na posiedzeniu 26 stycznia 1934 r., na którym większość rządowa, pod nieobecność opozycji, uchwaliła je jako projekt konstytucji.

Pomimo sprzeciwu opozycji, wskazującej na uchybienia w procedurze sejmowej i uważającej, że uchwała, by mieć moc wiążącą, powinna była zapaść większością dwóch trzecich głosów, tekst Konstytucji został podpisany 23 kwietnia przez prezydenta Ignacego Mościckiego.

Podstawowe zasady ustrojowe państwa zostały zawarte w 10 pierwszych artykułach. Wprowadziły one w państwie ustrój autorytarno-prezydencki, który zrywał z zasadą podziału władz. Wzmocniono władzę prezydenta, który miał być wybierany co 7 lat w głosowaniu powszechnym spośród dwóch kandydatów, z których jednego zgłaszało Zgromadzenie Elektorów, a drugiego wskazywał ustępujący prezydent. Ograniczono rolę Sejmu i Senatu. Rząd uniezależniono od parlamentu. Marszałek Senatu, a nie marszałek Sejmu, otrzymał funkcje związane z zastępowaniem Prezydenta.

Uważano, że nową konstytucję przygotowano z myślą o kolejnym prezydencie, którym miał zostać Józef Piłsudski. Jednak Marszałek był już bardzo schorowany i zmarł 12 maja tego samego roku, nie zdążywszy objąć najwyższej funkcji w państwie.

WL

Z dr. Adamem Bosiackim
rozmawia Ewa Zientara

Dlaczego piłsudczycy chcieli uchwalić nową konstytucję?

Ponieważ Konstytucja marcowa okazała

się nieefektywna - jej zasady nie tylko pozostawały martwą literą, ale także często prowadziły do swego zaprzeczenia. Nie było stabilnej władzy, kraj pogrążał się w politycznym chaosie. Myślało tak wielu, choć oczywiście nie wszyscy. Sejm się zmieniał, Senat nie gwarantował pozycji

ustrojowej parlamentu. Prezydent był postacią czysto dekoracyjną: ani nie powoływał rządu, ani go nie kontrolował. Rząd, będący konglomeratem różnych partii politycznych, również działał mało efektywnie.

Odpowiedzi na to pytanie należałoby poszukać także w sytuacji Polski lat trzydziestych na arenie międzynarodowej. Nikogo nie trzeba przekonywać, że okres ten przybliżył niebezpieczeństwo do granic Polski przede wszystkim ze strony Trzeciej Rzeszy - zagrożenia sowieckiego w zasadzie nie widziano. Także na płaszczyźnie ideowej lata trzydzieste charakteryzują się odchodzeniem od koncepcji rządów parlamentarno-gabinetowych. Jak powszechnie wiadomo, w Europie tamtego czasu prawie nie było państw o takim modelu rządów. System parlamentarno-gabinetowy został zastąpiony przez system autorytarny.

Myślę, że w tym miejscu dochodzimy do kwestii zasadniczej: autorytaryzm, o czym dziś często się zapomina, to sprawowanie rządów na zasadzie osobistego, moralnego autorytetu jednego człowieka, co często nie było obwarowane przepisami. W Polsce w okresie międzywojennym był taki człowiek - Józef Piłsudski, Naczelnik Państwa do 1922 roku, który potem wycofał się z życia politycznego. Wśród różnych zarzutów, jakie stawiali mu przeciwnicy, nigdy nie znalazło się zastrzeżenie, że z polityki i działalności publicznej chciał czerpać osobiste korzyści. Teraz często się zapomina, że 31 maja 1926 roku, po zamachu, Zgromadzenie Narodowe powierzyło mu prezydenturę, ale Józef Piłsudski stanowiska nie przyjął. Nie wyjaśnił motywów swojej odmowy, ale piłsudczycy sądzili, że nie chciał pełnić tego urzędu na zasadach Konstytucji marcowej - nie chciał być "prezydentem malowanym". Według mnie Konstytucja kwietniowa to jedyny w historii Polski przypadek, kiedy ustawę zasadniczą napisano pod osobowość

jednego człowieka. Józef Piłsudski był najważniejszym człowiekiem w państwie, niezależnie od tego, jakie akurat pełnił funkcje - premiera, ministra spraw wojskowych, generalnego inspektora sił zbrojnych. Wobec tego Konstytucja kwietniowa była jednym z niewielu, a w polskiej praktyce ustrojowej jedynym przypadkiem, kiedy konstytucję względnie demokratycznego państwa napisano po to, żeby przepisy prawne dopasować do rzeczywistości. Dlatego w jednym z artykułów umieszczono przepis, że za swe czyny prezydent odpowiada tylko przed Bogiem i historią. W przypadku Józefa Piłsudskiego było tak, zanim Konstytucja weszła w życie.

Dlaczego Konstytucję kwietniową uchwalono dopiero w 1935 roku, skoro piłsudczycy doszli do władzy w roku 1926?

Okres owych dziewięciu lat to czas umacniania się półdyktatury - jak wtedy mówiono - Józefa Piłsudskiego. W tym czasie nie tylko podejmowano próby ograniczania Konstytucji marcowej, ale także dopasowania do niej nowego systemu. Sejm w tym czasie był bardzo rozdrobniony, co utrudniało zmiany w konstytucji. Piłsudczycy zamierzali utrudnić mniejszym partiom wejście do parlamentu, czym te ostatnie w oczywisty sposób nie były zainteresowane. Rozdrobnienie partii politycznych oraz niemożność zebrania odpowiedniej liczby głosów do zmiany konstytucji to główny powód, dla którego nową ustawę zasadniczą uchwalono dopiero po dziewięciu latach. Choć i tak nie obyło się bez bardzo wielu nieprawnych zabiegów.

Na czym polegały te nieprawidłowości?

Warto przypomnieć choćby tak zwane wybory brzeskie, jak je w 1930 roku nazywała lewica. Zwraca się także uwagę na samą procedurę uchwalenia ustawy zasadniczej. Chodzi o to, że posłowie opozycyjni wyszli na przerwę do bufetu, a

po ich powrocie okazało się, że mają już nową konstytucję. W sensie reguł obowiązującego prawa Konstytucja kwietniowa nie została uchwalona z należyтым szacunkiem dla procedury. Z tego powodu można było mieć wątpliwości, czy z prawnego punktu widzenia obowiązuje. Ale przed wojną nikt - albo prawie nikt - takich obiekcji nie zgłaszał. Po II wojnie światowej Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego ogłosił, że powinien nastąpić powrót do zasad Konstytucji marcowej, gdyż Konstytucja kwietniowa została przyjęta z naruszeniem prawa. Władze komunistyczne twierdziły, że w chwili jej przyjęcia wszystkie jej postanowienia były niezgodne z obowiązującym prawem. Wydaje się jednak, że jest to zbyt daleko idąca interpretacja.

Co na temat nieprawnych, jak Pan to określił, zabiegów związanych z uchwaleniem nowej konstytucji mówiła ówczesna opozycja?

Opozycja oczywiście istniała i wypowiadała się na ten temat. Można było poczytać wydawane broszurki i usłyszeć debaty sejmowe. Ale zwykli ludzie niespecjalnie się tym przejmowali. Trzeba stwierdzić, że społeczeństwo przyjęło uchwalenie Konstytucji kwietniowej. I tu bym postawił kropkę. Nie można powiedzieć, że przyjęło ją z radością, ale na pewno bez dezaprobaty.

Jakie zmiany w stosunku do Konstytucji marcowej wprowadzała nowa ustawa zasadnicza?

Obie konstytucje rządzą się zupełnie innymi zasadami. Jeżeli marcową jako naczelną zasadę ustanawiała w Polsce model parlamentarno-gabinetowy, to kwietniowa wprowadzała model prezydencki. Jeśli marcową stosowała trójpodział władzy, to kwietniowa podział taki negowała. Stanisław Car, główny projektodawca nowej ustawy, *expressis*

verbis twierdził, że trzeba odrzucić wzór monteskiuszowski. Jeśli marcową ustanawiała Sejm jako dominujący organ władzy ustawodawczej, to w kwietniowej silnie dowartościowano izbę wyższą, czyli Senat.

Na mocy Konstytucji marcowej w rządzie przejawiały się poczynania parlamentu. W Konstytucji Kwiećniowej było zupełnie inaczej - rząd był trwałą, silną instytucją, która w ogóle nie musiała oglądać się na działalność Sejmu i Senatu.

Jako kolejny przykład różnic możemy wskazać samorząd terytorialny, który w 1935 roku został potraktowany jako część administracji państwowej. Takiej regulacji w Konstytucji marcowej nie było.

Czy Konstytucja kwietniowa spełniła pokładane w niej nadzieje?

W powojennej polskiej historiografii Konstytucję kwietniową przez lata przedstawiano jako wyraz tendencji antydemokratycznych. Natomiast zawsze warto zadać pytanie, które często jest uznawane za nienaukowe: co by było gdyby. Konstytucja kwietniowa została uchwalona po to, aby wprowadzić silniejszą władzę, co było bardzo istotne z punktu widzenia uwarunkowań międzynarodowych, a szczególnie niebezpieczeństwa ze strony Niemiec. Takie zagrożenie niewątpliwie istniało. Co by się zdarzyło, gdyby 1 września 1939 roku Polska była pod rządami Konstytucji marcowej? Przede wszystkim mogłoby nie być ciągłości państwa. Mogliśmy mieć zupełnie inny rząd, na przykład proniemiecki czy prookupacyjny, szerzej rzecz ujmując. Niewątpliwie w zachowaniu ciągłości państwa Konstytucja kwietniowa spełniła swoją rolę.

Krytycy ustawy zasadniczej z 1935 roku twierdzą - chociaż w zasadzie mało osób o tym pisze - że okres czterech lat po uchwaleniu Konstytucji do wybuchu

wojny jest znowu czasem małej efektywności Polski. W tym znaczeniu Konstytucja kwietniowa swojej roli nie spełniła, ponieważ w tamtych latach rząd Rzeczypospolitej okazywał się mało efektywny. Często trafiały doń osoby, których kompetencje pozostawiały wiele do życzenia. Już od początku lat trzydziestych w rządzie zaczęli pojawiać się wojskowi, którzy obsadzali nie tylko - jak byśmy dzisiaj powiedzieli - resorty siłowe, czyli np. Ministerstwo Spraw Wojskowych, ale także chociażby ministerstwo pracy, jak słynny gen. Aleksander Prystor.

Można powiedzieć, że nowy system tworzony przez rzeczywistość Konstytucji kwietniowej również okazał się niewydolny. Działo się to w okresie, w którym - jak określił to prof. Andrzej Garlicki - funkcjonowały rządy piłsudczyków bez Piłsudskiego. Na zaistniałą sytuację wpływała rywalizacja pomiędzy trzema skonfliktowanymi grupami: zamkową prezydenta Mościckiego, generalnego inspektora sił zbrojnych marszałka Rydza-Śmigłego oraz ministra spraw zagranicznych płk. Józefa Becka. Jak się wydaje, Konstytucja kwietniowa na pewno nie spełniła swojej roli jako katalizatora efektywności państwa, choć prawdopodobnie gdyby zadanie takie miała wypełnić Konstytucja marcowa, efekt byłby jeszcze gorszy.

Jaka jest Pana ocena Konstytucji kwietniowej?

Z punktu widzenia techniki ustawodawczej jest to najlepiej zredagowana konstytucja w dziejach Polski. Wszystko w niej jest jasne, całość tekstu została dobrze skonstruowana. Ale oczywiście pojawiają się także kwestie, w których nie wiadomo, o co ustawodawcy chodziło. Są też sprawy, które nie zostały zrealizowane, na przykład powołanie Naczelnej Rady Gospodarczej. Był to całkowicie zapomniany twór, który jeżeli zostawał powołany, to w wersji

zupełnie karykaturalnej. Rada miała pełnić rolę samorządu zawodowego. W ogóle mówiono, że do samorządu korporacyjnego, czyli nieterytorialnego, przywiązuje się dużą wagę. Tego jednak nie zrealizowano. Nie wiadomo, co ustawodawca miał na myśli mówiąc o samorządzie korporacyjnym: czy miał on zastąpić samorząd terytorialny, czy też nie? Czy samorząd korporacyjny wchodzi w konflikt z innymi rodzajami samorządu? Gdzie miała kończyć się korporacyjność, a zaczynać oligarchizacja? Takich dylematów nie rozstrzygnięto. A zatem bardzo wiele zasad Konstytucji kwietniowej nie zostało zrealizowanych. Zapis o Naczelnej Radzie Gospodarczej też pozostał martwą literą.

Jeżeli chodzi o rządy prezydenckie, to można powiedzieć, że one również były dosyć karykaturalne. Ignacy Mościcki nie był mężem stanu i nie odgrywał samodzielnej roli politycznej. Został mianowany na to stanowisko w 1926 roku dzięki Piłsudskiemu, którego był przyjacielem. Ten dawny socjalista, późniejszy profesor chemii, w zasadzie niczym szczególnym się nie wyróżniał.

Mimo to nie demonizowałbym Konstytucji kwietniowej, chociaż była niedemokratyczna i próbowała usankcjonować autorytaryzm. Pamiętajmy, że z owego autorytaryzmu nic nie wyszło, ponieważ autorytet przestał istnieć. Jak wiadomo, Marszałek Piłsudski umarł bardzo krótko po uchwaleniu nowej ustawy zasadniczej.

Konstytucja marcowa zmagala się z szerokim ustrojem parlamentarnym, a kwietniowa odwrotnie - z ustrojem autorytarnym. Istniało przekonanie, że jeżeli nie sprawdził się ustrój parlamentarny, to receptą na jego bolączki był ustrój o przeciwnych zasadach: system autorytarny z centralizacją państwa i prymatem władzy wykonawczej nad władzą ustawodawczą *de facto*, a nie *de*

iure, system prezydencki itd. Trzeba zwrócić uwagę, że w Polsce oba te systemy nie sprawdziły się i nie zostały zrealizowane, również w sensie społecznym. Wydaje się, że między innymi z tego powodu obecna polska Konstytucja,

pierwsza od 1935 roku demokratycznie uchwalona ustawa zasadnicza, stanowi wypadkową między Konstytucją marcową a kwietniową. Może to jest właśnie dobra pointa naszych rozważań.

Dr Adam Bosiacki - prawnik, zajmuje się historią myśli politycznej i prawnej. Jest adiunktem na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Opublikował m.in.: *Utopia - władza - prawo. Doktryna i koncepcje prawne Rosji 1917-1921* (1999), *Od naturalizmu do etatyzmu. Doktryny samorządu terytorialnego Drugiej Rzeczypospolitej* (2006).

Fotografia: prezydent Ignacy Mościcki wraz z Radą Ministrów w trakcie uroczystości podpisania konstytucji, 23 kwietnia 1935 r., [Narodowe Archiwum Cyfrowe](http://NarodoweArchiwumCyfrowe.pl), CC-BY-NC.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski



Utworzenie Ligi Narodowej

RODACY

Parokrotnie od początku wojny obecnej wyzwałem Was do trzeźwości w ocenie położenia, do panowania nad sobą, do czuwania nad ładem i spokojem w kraju. Nie chcieliśmy żadną miarą dopuścić do rozłamów i anarchii, demoralizującej ducha i rozkładającej narodowe siły, czy też do bezcelowej ruchawki, mogącej mieć za jejny skutek klęskę ogólną i ogólne przynębienie.

W ostatnim półroczu, w tym okresie najniebezpieczniejszych klęsk państwa rosyjskiego, kiedy u nas był okres zmęczenia się ładu z anarchią i organizowania narodowej opinii — pozostawiliśmy tej opinii, jej jawnym niejako organizatorem, głosne wypowiedzanie się, sami zaś poprowadziliśmy cichą pracę około skupienia żywiołów narodowych do walki o prawo, a co było pilniejsze — do walki z wicherzycielstwem, łącącym do przetrwania nas na tłum nieprzytomny, niezdolny rządzić sobą.

Ta nasza praca, jakkolwiek pozbawiona była poparcia ze strony biernych żywiołów naszego ogółu, umiejących w chwili niebezpieczeństwa, białdać tylko i na niedołęstwo rządu się skarżyć, jakkolwiek, walcząc z anarchią, jednocześnie z rządem walczyć musiała — przyniosła w końcu widoczne owoce.

Lud wiejski w masie swej oparł się wicherzycielskim podszeptom, robotnicy zaś i pracownicy zawodowi z trudnością wprawdzie, powoli, ale coraz silniejszy zaczęli stawiać opór socjalistycznemu terrorowi. Narodowe Kółko kolejarzy uniemożliwiło ponownie strajku na kolei Wiedeńskiej, później zaś Narodowy Związek robotników zaczął zwalczać skutecznie agitację za strajkami i terror, zmuszający do niego.

Jakkolwiek kraj nie jest jeszcze uspokojony, jakkolwiek próba anarchii ciągle wisi nad nami, szerzona przez obce żywioły i przy pomocy znacznych środków obcych — to jednak nie jesteśmy już wobec niej bezbroni, już przeciwstawiamy jej narodową, dobro sprawy ogólnej, dobro ojczyzny mającą na celu organizację.

To pociągła, to nakazuje nam w chwili obecnej zdobyć się na jasną, rozsądną ocenę położenia kraju i naszej sprawy narodowej oraz na odwagę wyścignięcia z tej oceny właściwych wniosków.

Idzie nam tu przede wszystkim nie o losy rewolucji czy też reformy państwowej w Rosji, bo to pośrednio nas tylko dotyczy i nie od nas zależy, a także nie o interesy tych lub innych grup społecznych, które się wysuwają na czoło ze szkołą ogólnej sprawy — ale o to, co stanowi dobro nasze wspólne, o naszą sprawę narodową.

Odrodźmy musimy stwierdzić, że pomimo niechętnego ostabienia rządu moskiewskiego sprawa nasza bardzo mało posunęła się naprzód. Ten rząd, poniosłszy z ręki japońskiej tak haniebne klęski, przekonany przejęciem wszystkich działów państwowej, mając zniszczoną w części a w ogóle zdemoralizowaną armię i zupełnie pozbawioną floty, zagrożony buntem we wszystkich niemal kątach swego państwa — pozostał mimo to wszystko głuchym na najelementarniejsze potrzeby naszego narodu. A potrzeby te ostatnimi czasy wypowiadano mu nieraz w sposób zrozumiały, popierając je najwymowniej.

W odpowiedzi na te wszystkie wyrażenia potrzeb otrzymaliśmy zatwierdzenie przez cara uchwały Komitetu Ministrów, zawierające parę niedźnych, drobiazgowych ustępów, obok nich zaś postanowienia, uzupełniające systemat narodowego ucisku. A i tego, co przyznano w zasadzie, nie pozwala się w wykonanie wprowadzić.

Męski głos protestu, jaki podnieśli wobec tych uchwał przedstawiciele całego naszego społeczeństwa, protestu, do którego dziś przyłączają się manifestacyjnie niezadowolone wszystkich zaletkach kraju — jest dobitnym wyrazem oburzenia na rząd a jednocześnie świadectwem zorganizowania się siłnej w całym kraju, świadomej swych dążeń narodowej opinii.

Jedeli wskazujemy wrogię nam bez przerwy i właściwie bez zmiany stanowisko rządu, czynimy to nie po to, by zwiększyć wśród Was, Rodacy, bezpłodne oburzenie, ale w tym celu, żeby sobie wyświetlić przyczyny i wyściągnąć stąd dla nas samych wskazówki postępowania.

Rząd carski nie chce zmienić względem nas polityki, bo nie jest zdolny do żadnych czynów szerszej pomyślności, bo w tych ludziach, co u jego stieru stoją, zanikły wyższe władze myślenia, a pozostały obok niedołęstwa i tchórzostwa tylko pierwotne, jakone instynkty. Patrząc tępejmi oczami na pierzające się dokoła nich i dokoła całego ustroju państwowego niebezpieczeństwa, bezmyślnym, nieprzytomnym skurczem palców trzymają w rękach to, co już do nich właściwie nie należy, jakkolwiek do niedawna uważane było za wierzchołek ich własności.

W tem położeniu, Rodacy, nie możemy oczekiwać, że dostaniemy od rządu cokolwiek, co będzie miało dla nas istotną wartość, że rząd da nam dobrovolnie to, co jest nam niezbędne do życia i rozwoju. Czyż mamy wobec tego opuścić ręce? czyż, znosząc tyle lat ucisk silnego wroga, miałyśmy go nadal cierpieć biernie, dla tego, że ten wróg zniechęcił, że do nam nie daje, a co nam do życia jest potrzebne sami sobie wziąć musimy.

Nie wzywamy Was do niedorzecznych porywów, do wyrzucania przeciwnie, wszystkich co Was do tego pobudzają jako szaleńców lub zbrodniarzy odepchnięcie od siebie. Musimy walczyć o swoje prawa nie jak ciemni, podlegający przez obcych i obcym interesom służący, barbarzyńcy, ale jak naród cywilizowany, świadomy swych dążeń, mający rząd wewnętrzną i panujący nad swymi czynami.

Musimy wziąć sobie, co nam jest potrzebne, nie drogą wymuszania, gwałtem, bo do tego nie mamy środków, ale drogą wprowadzania w życie własnymi siłami, własną wolą tego, co uważamy za konieczne.

Narodowa Demokracja była jednym z głównych (obok socjalistów, ruchu ludowego oraz chrześcijańsko społecznego) nurtów w polskim życiu politycznym początku XX stulecia, a także Polski Odrodzonej (1918-1939). Za jego początek uznaje się utworzenie w 1893 r. tajnej Ligi Narodowej, wokół której w kolejnych latach grupowały się działające jawnie struktury, przede wszystkim stronnictwa używające nazwy narodowo-demokratycznych (lub demokratyczno-narodowych) w każdym z trzech zaborów. Stąd nazwa "endecja", używana na zewnątrz ruchu.

Po odzyskaniu niepodległości podległe Lidze stronnictwa zjednoczyły się w ramach Związku Ludowo-Narodowego (1919), w 1928 r. przekształconego w Stronnictwo Narodowe. Znaczenie tajnego kierownictwa zmniejszyło się, by ponownie wzrosnąć w zmienionych warunkach po przewrocie po 1926 r.

wojny Stronnictwo Narodowe wsparło struktury polskiego państwa podziemnego, jakkolwiek na tle różnic poglądów do czasu silnie zaznaczyła się tendencja do tworzenia odrębnej konspiracji wojskowej. Zdziesiątkowane podczas II wojny światowej, następnie rozbite przez represje po 1944 r., w kolejnych latach zostało pozbawione możliwości działania " jak okazało się na trwale: po 1989 (podobnie zresztą jak i inne dawne partie) nie zdołało już się odrodzić. Problemem odrębnym są próby odwoływania się do jego tradycji przez różne środowiska polityczne.

Ideologia Narodowej Demokracji odwoływała się do pojęcia narodu jako historycznie ukształtowanej wspólnoty pokoleń, wspólnoty łączącej generację żyjącą współcześnie z pokoleniami wcześniejszymi, a także przyszłymi. Kluczem przynależności do narodu było właśnie poczucie wspólnych z nim losów, w połączeniu z poczuciem odpowiedzialności za jego przyszłość. Opinie na temat genezy poglądów, w

W grudniu 1926 r. została podjęta próba powołania struktury pozaparlamentarnej pod nazwą Obozu Wielkiej Polski " po jej rozwiązaniu przez władze państwowe na przełomie 1932 i 1933 r. jej członkowie zasilili, prócz macierzystego SN, także tworzące się grupy secesjonistyczne, spośród których najważniejszym był Obóz Narodowo-Radykalny (1934). Po wybuchu

klarownej formie przedstawionych już w otwierającym "Myśli nowoczesnego Polaka" passusie, są rozbieżne. Jakkolwiek bardzo podobne wątki odnaleźć można w dziedzictwie polskiego Romantyzmu, dobrze znanym czołowiec ruchu, wiązali je oni w całość stanowiącą nową jakość. Przede wszystkim akcentowano znaczenie konfliktów w relacjach pomiędzy historycznie ukształtowanymi wspólnotami. Stąd też obowiązkiem Polaka " jak uważano " musi być zachowanie solidarności z poczynaniami wspólnoty własnej. Tego rodzaju optyka sprzyjała zaostreniu stanowiska nie tylko w relacjach z przedstawicielami innych społeczności (Niemcami, Rosjanami, Ukraińcami, Żydami), ale i w obrębie obozu polskiego, w relacjach z przedstawicielami obozu liberalnego lub socjalistami. Na to nałożyły się z czasem rozmaite resentymenty spowodowane rywalizacją partyjną.

Przy określaniu stosunku do instytucji państwa dały o sobie znać meandry natury taktycznej. Zasadniczo uważano, że bez własnego państwa normalny rozwój narodu jest niemożliwy - odgrywający w obrębie środowiska kluczową rolę Roman Dmowski wręcz definiował naród jako wytwór bytu państwowego. W bieżącej propagandzie stanowisko to jednak ulegało zatarciu. Przed rokiem 1914 działało się to w związku z realizowaną polityką orientacji na Rosję, między rokiem 1926 a 1939 - za sprawą potrzeby wyrazistego zdystansowania się od ideologii państwowej głoszonej przez zwolenników Piłsudskiego. Dodatkową komplikacją " w r. 1926 " było potępienie przez Stolicę Apostolską francuskiej grupy konserwatywno-nacjonalistycznej L'Action Francaise, co mogło grozić wejściem w doktrynalny spór z Kościołem także i innym nacjonalistycznym ruchom. W tej sytuacji czołówka ruchu silniej i bardziej jednoznacznie zaczęła podkreślać związku polskość z katolicyzmem " dystansując się od zasady egoizmu

narodowego, eksponowanej przed Wielką Wojną (Zygmunt Balicki). Zadeklarowany zwrot trafił jednak w społeczne nastroje: gdzie kończyły się polityczne rachuby, a oddziaływały wpływy zmienionego po wojnie klimatu politycznego, trudno rozstrzygnąć.

Dziedziną, w której względy doktrynalne przeplatały się z koniecznością uwzględniania wymogów polityki bieżącej, było postrzeganie problemów sąsiedztwa Polski. W przypadku narodowości zamieszkujących obszar dawnej Rzeczypospolitej " ich aspiracje oraz dążenia były ostro zwalczane. Dotyczyło to w równej mierze Ukraińców, Litwinów, jak i Żydów. W przypadku polityki niemieckiej czy rosyjskiej problem komplikował się za sprawą drastycznej nierówności sił, ponadto oddziaływały rachuby na efektywne wyzyskanie zmian w sytuacji międzynarodowej, jakie zaczęły się rysować w początkach XX stulecia. Perspektywa konfliktu między zaborcami potencjalnie stwarzała szansę wyrwania sprawy polskiej z impasu, w którym dotąd tkwiła.

Sytuacja ta tkwiła u źródeł sporu orientacyjnego, który podzielił polskie elity. W przypadku Narodowej Demokracji dokonany wybór oznaczał podjęcie kroków nie do przyjęcia dla znacznej części polskiej opinii publicznej. Jakkolwiek cała czołówka Ligi Narodowej, uformowana w zaborze rosyjskim, była silnie antyrosyjska, to jednak zdecydowano w przededniu wojny zadeklarować poparcie nie bloku austro-niemieckiego, ale właśnie Rosji. Potencjalnie jej sukces stwarzał szansę zjednoczenia ziem polskich (nie zaś ich ponownego podziału), była też Rosja sojusznikiem państw zachodnich, traktowanych jako przyjazne, dodatkowo zaś " czego naturalnie nie eksponowano " budziła nadzieje jako kraj podminowany wewnętrznym konfliktem, zagrożony rozpadem. Ocena, w jakiej mierze scenariusz ten się potwierdził podczas I wojny światowej, może być

uznana za kwestię sporną, w obliczu tempa wydarzeń oraz ich dynamiki. Bezsporne jest, że przebywający wówczas na Zachodzie Dmowski zdecydował się ujawnić trzymane wcześniej w ukryciu plany, przedstawiając stanowisko w sprawie granic postulowanego państwa polskiego (wiosna 1917 r.), a w ciągu następnych lat z wielką determinacją i zręcznością jego broniąc.

Wizja postulowanego państwa bardzo przypominała późniejszą Drugą Rzeczypospolitą. Zarys granic uwzględniał wolę objęcia nimi obszarów o większości polskiej, wraz z głównymi ośrodkami polskości na wschodzie (Wilno i Lwów), przy zapewnieniu dostępu do morza oraz oparcia o śląskie złoża węgla. Aspirujące do odgrywania roli lokalnego mocarstwa państwo politycznie związane być miało z państwami zachodnimi. Dmowski zdawał sobie sprawę z ryzyka projektu, licząc się z przeciwdziałaniem zarówno Niemiec, jak i Rosji, sądził jednak, że rewolucja osłabi te ostatnią w sposób trwały, pokonane zaś Niemcy będą trzymane w ryzach przez zwycięski Zachód. Ułomnością jego wizji "spór o możliwości jej uniknięcia dzielił polską scenę polityczną" był brak ofert pod adresem innych niż polska narodowość zamieszkałych obszar postulowanego państwa. Żywioł ukraiński zamierzał Dmowski spacyfikować przez podział spornego obszaru między państwo polskie oraz Rosję. Podział nie pociągnął za sobą współdziałania zainteresowanych stron, kwestia zaś ukraińska miała się okazać w przyszłości jednym z najtrudniejszych problemów dla odrodzonego państwa; osobny zaś i rosnący problem stanowiła kwestia żydowska "wynik sytuacji, w której dystanse kulturowe oraz obyczajowe nakładały się na napięcia na tle społecznym.

W odrodzonej Polsce Narodowa Demokracja utworzyła jeden z najsilniejszych nurtów politycznych, co

jednak tylko w ograniczonym zakresie (i tylko przed 1926 r.), łączyło się z możliwościami wywierania wpływu na decyzje władz państwowych. Sytuacja ta, frustrująca dla dużego i zasłużonego dla odzyskania niepodległości środowiska, sprzyjała ujawnianiu się w jego obrębie tendencji skrajnych, komplikując jego udział w budowie struktur demokratycznego państwa (zgodnie z założeniami konstytucji z 1921 r.). Zewnętrznym przejawem frustracji była agresywna publicystyka, w której prócz akcentów antysemickich, szokowały pochwały "dzieła" Mussoliniego. Pod względem społecznym środowisko sytuowało się na prawicy, czego wyrazem była niechęć wobec dążeń rewindykacyjnych ze strony świata pracy. Przed przewrotem majowym 1926 r. środowisko, chociaż z oporami, przekształcało się w mieszczańską partię typu zachodniego. Przewrót przeciął te ewolucję, odsuwając od wpływów polityków parlamentarnych, kiedy zaś w początkach lat 30. zaczęło rosnąć znaczenie polityków reprezentujących młodszą generację działaczy, dalszy kierunek ewolucji stał się przesądzony. Trzeba jednak pamiętać, że znaczna część jego działaczy nie akceptowała dokonanego zwrotu w kierunku ekstremistycznym, zachowując swoje poglądy i tonując poczynania bardziej krewkich kolegów. Zaostrzenie się stanowiska było wyraźne w kwestii ustroju politycznego państwa, w postrzeganiu problemów narodowościowych (w tym kwestii żydowskiej) oraz relacjach z innymi środowiskami politycznymi. Nie zmieniły się poglądy na miejsce Polski w Europie i politykę zagraniczną, jaką państwo polskie powinno prowadzić. I tak, mimo coraz silniej akcentowanej wrogości do Żydów, dojście do władzy w Niemczech Hitlera nie zaważyło silniej na stanowisku, że największa groźba dla Polski stanowią Niemcy.

To stanowisko zostało utrzymane także po

1939 r.. Działając w obrębie struktur polskiego państwa podziemnego Stronnictwo Narodowe opowiadało się za rewindykacjami terytorialnymi kosztem Niemiec na zachodzie, przy utrzymaniu integralności terytorium państwa na wschodzie. W kwestii ustroju politycznego oraz w kwestii społecznej próbowano podtrzymać stanowisko sprzed wojny "elementy dalej idącej ewolucji zaznaczyły się po wojnie, na wychodźstwie. Upraszczając, można mówić o dwóch postawach: epigońskim odwoływaniu się do tradycji ruchu (pisarstwo Jędrzeja Giertycha) oraz próbach dostosowania ideowego przekazu do nowych wyzwań (Patrz "Źródła niepodległości" Wojciecha Wasiutyńskiego). Dla sympatyków dziedzictwa Narodowej Demokracji te ostatnie mogą być inspirujące "pokazują bowiem żywotność systemu pojęć, przydatnych nie tylko dla kultywowania tradycji, ale także w roli narzędzia pozwalającego na analizę procesów i zjawisk współczesnych.

Pamięć o Narodowej Demokracji jest drastycznie podzielona "poza Polską na jej kształcie zaważył związek poczyną środowiska z nasileniem się procesów narastania świadomości narodowej oraz konfliktami, jakie procesy te za sobą pociągały. Ruch zdawał sobie sprawę z zachodzących tu związków, postrzegając siebie jako część procesu tworzenia się nowoczesnego narodu "czynnik o znaczeniu kluczowym, wspierający zaznaczające się żywiołowo dążenia elementami planowania oraz ładu. Nawiązując do modnych u schyłku XIX stulecia analogii biologicznych, uważano, że pojawienie się oraz rozwój nacjonalizmów jest w życiu społecznym czymś równie doniosłym, jak w świecie zwierzęcym pojawienie się gatunku obdarzonego świadomością. Poczucie misji, w połączeniu z przekonaniem o nieuchronności rywalizacji wpłynęło na kształt oraz charakter jego aktywności na obszarach wszystkich ważniejszych napięć

na tle etnicznym, które zaznaczyły się na terenie dawnej Rzeczypospolitej. W rezultacie Narodowa Demokracja stała się "węzłem" dla wielu narracji bardzo od siebie odległych. Zapewne wpływa to na kształt resentymentów zaznaczających się dzisiaj w relacjach polsko-rosyjskich, polsko-niemieckich, polsko-ukraińskich, polsko-żydowskich i innych, choć trudno ocenić w jakiej mierze. Poza Polską za przejawy polskiego nacjonalizmu uważane bowiem bywają także poczynania podejmowane przez przeciwników Narodowej Demokracji. Natomiast w Polsce śladem dawnych polemik wydaje się skłonność do wąskiego definiowania pojęcia nacjonalizmu, jako szczególnej (wynaturzonej, skrajnej) formy świadomości narodowej, w odróżnieniu od form pozytywnych tej świadomości "przede wszystkim patriotyzmu.

Pamięć o Narodowej Demokracji zaznacza się jeszcze w inny sposób. Dla znacznej części polskiej sceny politycznej określenie własnego stanowiska (np. w kwestiach narodowościowych, czy stosunku do tradycji) dokonywało się poprzez zaznaczenie dystansu wobec programu "endeckiego". Niekiedy dokonywało się to przez prostą jego negację, częściej przez selektywne przyjmowanie poszczególnych postulatów lub zajmowanie stanowiska zbliżonego w kwestii konkretnych rozwiązań - ale przy odrzuceniu wspierającej je retoryki, a zwłaszcza stojącej za nimi filozofii politycznej. Dotyczyło to w szczególności polityki narodowościowej prowadzonej po roku 1926 na odcinku niemieckim i ukraińskim. Dystansowanie się od Narodowej Demokracji mogło sugerować zarówno umiarkowanie prowadzonej polityki, jak i to, że potencjalnie mogła być ona bardziej represyjna.

Instrumentalny charakter miało kreowanie czarnej legendy środowiska w roli uzasadnienia dokonanego w 1926 r. zamachu stanu, a później ustanowienia

autorytarnej dyktatury. W tej czarnej legendzie "poza negowaniem zasług środowiska dla odzyskania przez Polskę niepodległości - szczególną rolę odgrywały dwa argumenty. Po pierwsze sugerowano, że zamach był w gruncie rzeczy kontrzamachem, uprzedzając przewrót planowany przez endecję, która zaprowadziłaby wówczas system wzorowany na włoskim. Drugi spośród argumentów odwoływał się do resentymentów tragedii, jaką był zamach na pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej, Gabriela Narutowicza. Merytorycznie ocenić oba argumenty nie sposób. Co prawda badania historyków nie potwierdziły przygotowań ze strony endecji do zamachu, ale któż dowiedzie, że takowy, gdyby nastąpił, nie oznaczałby rodzimej odmiany faszyzmu? Można mieć wątpliwości czy zorganizowana przez prawicę, haniebną, trwająca kilka dni nagonka prasowa, mogła zdecydować o zamiarach działającego samotnie szaleńca, ale dowodu, że nie wpłynęła też się przecież nie znajdzie...

Poza sferą instrumentalną, czarna legenda Narodowej Demokracji żywiła się i żywi nadal resentymentami antagonizmów, zrodzonych w związku z działalnością środowiska "nie trzeba dodawać, że kierunek jego ewolucji nie pozostał bez wpływu na to, jak było postrzegane, i jaką

pamięć o jego poczynaniach zachowali ludzie, których jego poczynania silniej lub słabiej dotknęły. Dotyczy to w szczególności lat 30. "wraz z charakterystycznym dla nich klimatem polaryzacji oraz zrodzonymi wówczas mitami "żydokomuny" z jednej strony, "międzynarodowego faszyzmu" z drugiej. Daremne byłoby przeczyć, że ekstremizm ruchu, w tym i deklarowane w jego obrębie sympatie dla faszyzmu, mogły budzić obawy i prowokować reakcje równie skrajne. O sile resentymentów świadczyć może ich trwałość, kiedy "jak przy okazji sporów wokół pomnika Dmowskiego w Warszawie, odżywają argumenty powstałe siedemdziesiąt z górą lat temu, w zupełnie innym świecie.

Prócz resentymentów, przywoływanie Narodowej Demokracji w roli pozytywnego lub negatywnego przykładu bywało i nadal bywa dogodnym instrumentem dla prowadzenia debaty w sprawach jak najbardziej współczesnych: sporach o politykę państwa, rozumienie praw obywatelskich, traktowania mniejszości, granic pluralizmu, stosunku do Kościoła, do dziedzictwa narodowego, pojmowania tradycji, rozumienia pojęcia niepodległości, jak i tego czym jest (powinna być) wspólnota polityczna dzisiaj.

prof. Krzysztof Kawalec

Ilustracja: ulotka Ligi Narodowej z 1905 r., [Polona](#), CC-BY-NC.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Założenie Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie



Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-K-452-2

Czyniąc zadość powyższej potrzebie, powołuję do życia w Warszawie Muzeum Wojska, jako centralną instytucję muzealną w Polsce, oraz zatwierdzam poniższy status.

Pierwszym dyrektorem Muzeum Wojska mianuję p. Gębarzewskiego Bronisława, historyka wojskowości polskiej, dyrektora Muzeum Narodowego m. s. Warszawy.

Belweder, dnia 22 kwietnia 1920 r.

J. Piłsudski

Naczelny Wódz

Tym oto dekretem naczelnik państwa oraz naczelny wódz Armii Polskiej dał początek Muzeum Wojska. Dekret nabrał mocy urzędowej wraz z jego publikacją w Dzienniku

Rozkazów Ministerstwa Spraw Wojskowych w dniu 11 maja i od tego momentu rozpoczęło się właściwe tworzenie Muzeum.

Początki były skromne. Podstawą zbiorów placówki były militaria z założonego w 1919 roku Muzeum Wojsk, prezentującego kolekcję z okresu I wojny światowej, jak również część zbiorów wojskowych Muzeum Narodowego. Do tego dochodziły z biegiem czasu kolekcje prywatne, w których zachowały się pamiątki i przedmioty związane z chwalebnymi dziejami polskiego oręża – militaria, mundury, dokumenty, obrazy, mapy i zdjęcia. Dużą część tej kolekcji stanowiły militaria zebrane w poprzednim wieku przez Wincentego Krasińskiego – dawnego szwoleżera i generała wojsk polskich.

Od 1922 roku udostępniono placówkę dla zwiedzających. Siedzibą Muzeum Wojska był początkowo budynek przy ul. Podwałe 15, a od 1933 roku jego zbiory i siedziba mieściły się już w obecnym budynku przy al. Jerozolimskich 3. Przed wybuchem II wojny światowej Muzeum Wojska miało w swoich zbiorach kilkadziesiąt tysięcy eksponatów i było największą tego typu placówką w Polsce, organizującą także regularnie wystawy czasowe.

W czasie wojny i okupacji Niemcy przeprowadzili rabunek co cenniejszych eksponatów, natomiast pozostała część została zmagazynowana w kilku niewielkich pomieszczeniach, które udało się dzięki poświęceniu polskich pracowników Muzeum, a zwłaszcza prof. Stanisława Lorentza, ewakuować po upadku Powstania Warszawskiego do Pruszkowa. W najokazalszych salach wystawowych hitlerowcy urządzili skład i magazyn sprzętu Waffen SS. Do dziś zachowała się na jednych z drzwi plakietka z nazwą ówczesnego „gospodarza” pomieszczeń muzealnych.

Po wojnie i odzyskaniu części zbiorów przystąpiono do odbudowy oraz reorganizacji placówki, przemianowanej w 1946 roku na Muzeum Wojska Polskiego.

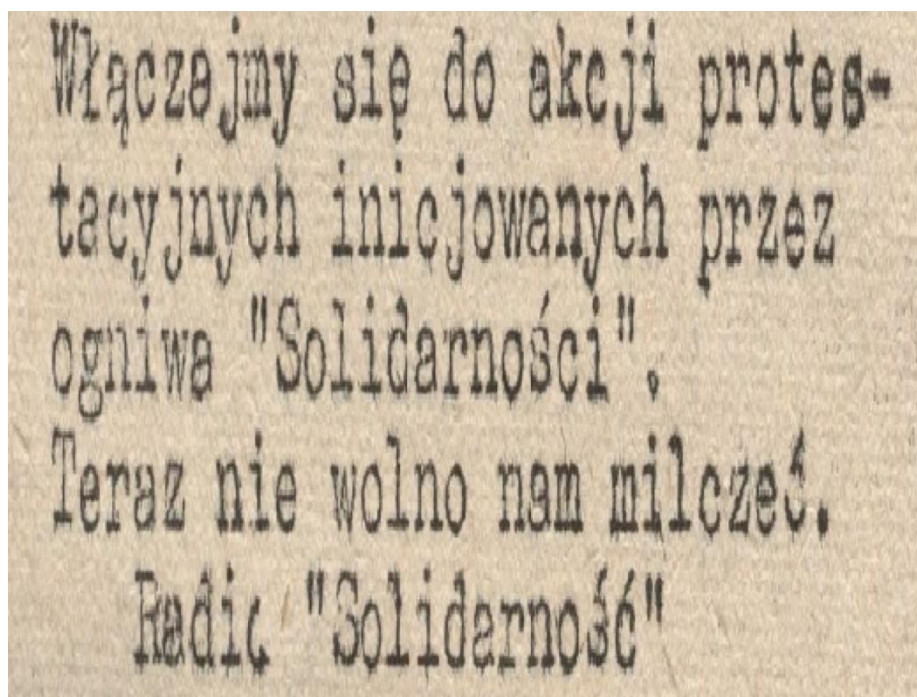
Dzisiaj Muzeum – poza swoją główną siedzibą, poszerzoną o ekspozycję plenerową – ma jeszcze dwie filie: Muzeum Katyńskie przy ul. Dymińskiej 13 oraz Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej w Forcie Czerniakowskim przy ul. Powsińskiej 13. Nowa siedziba Muzeum ma znaleźć się na Cytadeli Warszawskiej w jednym kompleksie budynków z Muzeum Historii Polski.

Wśród swoich eksponatów placówka posiada między innymi takie „perełki”, jak krzyżacki relikwiarz zdobyty pod Grunwaldem, szablą Stefana Batorego, siodło Stefana Czarnieckiego, mundur Józefa Piłsudskiego, samochód pancerny „Kubuś” z Powstania Warszawskiego, a także inną broń białą i palną oraz uzbrojenie ochronne od X do XXI wieku, ekwipunek wojskowy, sztandary, odznaki, order, jak również sprzęt mechaniczny: m.in. broń pancerną, samoloty, sprzęt pływający.

A.F.

Zdjęcie: Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Gmach muzeum - wygląd zewnętrzny, 1934, [Narodowe Archiwum Cyfrowe](#).

Radio „Solidarność”



Radio „Solidarność”, obok niezależnego ruchu wydawniczego, było fenomenem opozycji Europy Środkowo-Wschodniej. Pierwszą audycję nadano 12 kwietnia 1982 roku z dachu budynku przy ul. Grójeckiej 19/25 w Warszawie. Nadajnik skonstruował inżynier Ryszard Kołyszko. Audycję nadali Marek Rasiński i Janusz Klekowski. Od tej pory zapowiedź: „Tu Radio Solidarność”, poprzedzona fragmentem okupacyjnej piosenki „Siekiera, motyka...”, zaczynała kolejne audycje Radia w Warszawie i wielu innych miastach Polski.

Pierwsza audycja radia miała miejsce w drugi dzień świąt wielkanocnych. Przypomnijmy sobie tamte święta: w obozach internowania znajduje się jeszcze 4.000 osób. Zwolniono już 2,5 tys. osób, ale dochodzi ciągle do nowych aresztowań.

Masowo zwalniana się z pracy osoby zatrzymane w czasie strajków i demonstracji. Niedawno przywrócono łączność telefoniczną między miastami, rozwiązano Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Trwa weryfikacja dziennikarzy. Mają miejsce krótkie strajki w zakładach pracy i protesty w szkołach. Narasta lawinowo ruch wydawniczy. Powstają ośrodki koordynacji. Za kilka dni powstanie Tymczasowy Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność” w Gdańsku, a dwa dni później Międzyzakładowy Robotniczy Komitet Strajkowy w Warszawie. Na początku maja dojdzie w wielu miastach do ostrych starć z milicją.

Chronologia dalszych audycji nie jest pewna. Pojawiają się spory, czy druga audycja została nadana z Poznania, czy ze Stalowej Woli. Już 8 czerwca ruszył

ośrodek podziemnego radia w Gdańsku. Kolejne były Małopolska, Wrocław, Olsztyn, Bielsko Biała i wiele innych. Dzięki pomysłowości fizyków i astronomów z Torunia od listopada 1982 r. audycje radia nadawano z balonów napełnionych wodorem. Były to tzw. audycje „balonowe”. Tropem autorów audycji ruszyła natychmiast Służba Bezpieczeństwa, a nawet wschodnioniemiecka Stasi.

Twórcą podziemnego radia „Solidarność” był Zbigniew Romaszewski. Dziś nieżyjący już działacz KOR oraz Solidarności, wieloletni senator i wicemarszałek Senatu, legenda opozycji

antykomunistycznej. Po aresztowaniu części ekipy oraz Zofii Romaszewskiej w lipcu oraz samego Zbigniewa Romaszewskiego pod koniec sierpnia 1982 r., na czele radia w Warszawie stanął Jerzy Jastrzębowski. W styczniu 1983 zaczął się proces, w wyniku którego Zbigniew Romaszewski został skazany na 4.5 roku więzienia, a Zofia na trzy lata. Radio „Solidarność” działało jednak nadal. W 1986 r. powstał nawet Program II, a w 1987 r. Program III. Ściganie ludzi związanych z Radiem trwało aż do wyborów w 1989 roku i po wyborach tego roku radiostacje Radia „Solidarność” zamilkły.

Ilustracja: Ulotka informująca o dacie i godzinie audycji Radia Solidarność - rewers., [Wikipedia](#), Domena publiczna.



Sejm rozbiorowy



11 kwietnia 1775 roku zakończył obrady sejm rozbiorowy, zwołany dwa lata wcześniej pod naciskiem państw zaborczych za sprawą konfederacji generalnej zawiązanej 16 kwietnia 1773 roku pod laską kuchmistrza koronnego Adama Ponińskiego, jurgieltnika, któremu w zamian za legalizację rozbiorów przez sejm ofiarowano godność podskarbiego koronnego i stałą roczną pensję w wysokości 24 000 dukatów. Poniński pobierał pensje od wszystkich państw zaborczych, przywłaszczył sobie także znaczne sumy z majątku zakonu jezuitów, rozwiązanego przez papieża Klemensa XIV, które miały pierwotnie być przeznaczone na działalność Komisji Edukacji Narodowej. Marszałkiem konfederacji Wielkiego Księstwa Litewskiego został Michał Hieronim

Radziwiłł, który za pieniądze otrzymywane ze wspólnej kasy trzech państw zaborczych kupił w 1774 roku pałac w Nieborowie wraz z otaczającymi go gruntami.

Na czele opozycji sprzeciwiającej się rozpoczęciu obrad sejmu rozbiorowego i oddaniu laski marszałkowskiej Adamowi Ponińskiemu stali Tadeusz Reytan, Samuel Korsak i Stanisław Bohuszewicz Minkowski. 21 kwietnia 1773 roku Tadeusz Reytan własnym ciałem próbował zagrozić wyjście z sali posłom, idącym parafować dokumenty potwierdzające dokonanie I rozbioru Polski, wołając: *Kto kocha Boga, kto wierny ojczyźnie, niech jej dziś nie odstępuje, wszak widzicie, że tu idzie o zniszczenie praw jej najdroższych.*

Poniński i poseł rosyjski w Warszawie Otto Magnus von Stackelberg przyjęli

wobec posłów taktykę przekupstwa i zastraszania. Wysuwano groźby rozszerzenia rozbiorów o centralne ziemie Rzeczypospolitej i spalenia Warszawy, część senatorów została aresztowana i zesłana w głąb Rosji. 30 września 1773 roku sejm zatwierdził traktat rozbiorowy.

Posłowie Franciszek Jerzmanowski i Stanisław Koźuchowski wydali manifest przeciwko ratyfikacji traktatów podziałowych i próbowali go oblatować (wpisać do akt) w grodzie warszawskim. Gród, związany zakazem generalności (władz) konfederacji, manifestu nie przyjął.

Oprócz zatwierdzenia traktatu rozbiorowego sejm przeprowadził także liczne reformy: *Tak więc i za tego sejmu, pod żelazną różgą trzech sprzysiężonych dworów, pod przewodnictwem najniemoralniejszego z ludzi, pod tym sejmem skażonym chciwością ukazały się, zwłaszcza w początkach, dusze szlachetne, zaszyły niektóre zbawienne urzędy. Najzbawienniejszym zapewne była wspomniona już Komisja Edukacyjna. Ustanowiono Radę Nieustającą, która między sejmem a sejmem zastępowała władzę wykonawczą; jakkolwiek błędna była ta magistratura, przyzwyczaiła naród do rządu. [...] Odjęto królowi rozdawnictwo urzędów i starostw – oceniał po latach zmiany ustrojowe wprowadzone*

przez sejm rozbiorowy Julian Ursyn Niemcewicz w *Pamiętnikach czasów moich*. Pamiętnikarz miał na myśli założenie Komisji Edukacji Narodowej, pierwszego w Europie ministerstwa oświaty, i utworzenie Rady Nieustającej, pierwszego stałego rządu w Rzeczypospolitej, złożonego z króla, 18 senatorów i 18 posłów.

Sejm ujednolicił też prawo podatkowe, wprowadzając podymne generalne (płacone od każdego komina na dachu we wszystkich typach dóbr), przywrócił cła generalne, zniósł prawo, które stanowiło, że szlachcic osiedlający się w mieście automatycznie tracił szlachectwo, a także unowocześnił strukturę wojska, którego liczebność miała być zwiększona do 30 000 (co nie zostało nigdy zrealizowane).

Niemcewicz, który wtedy był członkiem korpusu kadetów, tak wspominał uroczyste zamknięcie obrad sejmu: *Wysłano nas kilkunastu kadetów na ostatnią sesję tego nieszczęsnego sejmu. Widok króla siedzącego na tronie, otoczonego senatem i posłami, przejął mnie uszanowaniem. Słyszałem mówiącego króla za Rzewuskim, Czetwertyńskiego, co później przeszedł do Targowicy za wolnością, Ponińskiego wychwalającego bezczelnie dobrodziejstwa przez sejm ten zlane na Polskę.*

W.Sz.

Ilustracja: *Rejtan na sejmie 1773*, obraz Jana Matejki z 1866 roku, [Wikipedia](#), domena publiczna.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Muzeum Przyrody i Techniki STARACHOWICE

ŻELAZNE KORZENIE

18-19 maja 2017

Toyota FT-4X Comcept



Toyota FT-4X Concept – crossover 4x4 dla pokolenia wychowanego na klockach Lego

Toyota właśnie pokazała na targach w Nowym Jorku nowego koncepcyjnego crossovera, zaprojektowanego z myślą o pokoleniu millenialsów. To auto z napędem 4x4 o modułowej konstrukcji nadwozia i wnętrza. Samochód zaprojektowało amerykańskie studio Toyoty Calty Design Research z Kalifornii.

Atutem nowego crossovera C-HR jest awangardowy styl, natomiast pomysł na kolejnego crossovera od Toyoty idzie w zupełnie innym kierunku – maksymalnej praktyczności, ułatwiającej spontaniczne, aktywne spędzanie czasu. Modułowa konstrukcja nadwozia i wnętrza, którą można z łatwością dostosowywać do aktualnych potrzeb, w zamyśle projektantów daje użytkownikom pełną swobodę korzystania z samochodu jako narzędzia do realizacji swoich pasji.

Hasłem przewodnim projektu jest „Rugged Charm”, czyli „nieugięty urok”. Projekt nadwozia wykorzystuje geometryczną prostotę, nawiązując do znaku X, który jest widoczny w

wyglądzie przodu i boku auta. Kłapa bagażnika o nazwie Multi-Hatch to inżynierski fenomen. Otwiera się w dwie strony – poziomo w trybie Urban Mode i pionowo w trybie Outdoor Mode. W układzie Urban Mode kłapa bagażnika dzieli się na dwa skrzydła drzwi, które otwierają się na boki. Ułatwiają one korzystanie z bagażnika na ograniczonej przestrzeni, na przykład na zatłoczonym parkingu. Ustawienie Outdoor Mode scala oba skrzydła w jedną kłapę, którą podnosi się do góry, tworząc dach chroniący przed deszczem lub słońcem. Do wyboru pożądanego trybu wystarczy ustawienie pod odpowiednim kątem obrotowej klamki. Co więcej, wszystkie klamki są na tyle duże, żeby można było je wygodnie chwycić nawet w rękawicach narciarskich. Na skrzydłach tylnych drzwi znajdują się dwa izotermiczne schowki do przechowywania gorących i zimnych produktów spożywczych.

Główny projektant wnętrza, Ben Chang, chciał się upewnić, że nowoczesność kabiny TF-4X nie będzie polegała tylko na zastosowaniu ekranów dotykowych i nowych technologii – ale że nowatorskie będzie także podejście do poszczególnych elementów wykończenia w taki sposób, aby pełniły niespotykane w innych samochodach, praktyczne funkcje. Inspiracją dla projektu wnętrza była skrzynka na narzędzia. Jego modułowa budowa zawiera wiele otwieranych, przesuwanych i obrotowych elementów, które maksymalnie zwiększają użyteczność wnętrza. Znalazło się w nim miejsce m.in. na należącej do wyposażenia auta śpiwór i butelkę na wodę. Płaska podłoga bagażnika może być składana i otwierana na wiele sposobów, odsłaniając dodatkowe schowki.

Toyota zakłada, że nowy model będzie wykorzystywał 4-cylindrowy silnik benzynowy o niewielkiej pojemności. Auto zbudowane na platformie TNGA z przodu ma kolumny MacPhersona, zaś z tyłu zawieszenie wielowahaczowe. Dobłą przyczepność w różnych warunkach zapewniają 18-calowe koła z oponami 225/55R-18 Goodyear All-Season. Nie wiadomo, czy nowy koncept znajdzie kontynuację jako auto produkcyjne, ale nowy projekt pokazuje, że projektantów Toyoty stać na śmiałe eksperymenty z wyobraźnią.



Asustor Prywatna chmura dla fotografa



Asustor przekonuje, że centralnie przechowywany, udostępniany, zarządzany i zabezpieczony fotograficzny dorobek, to przyszłość dla wszystkich fanów fotografii cyfrowej. Wygodne i bezpieczne rozwiązania jakim są dyski sieciowe, ułatwią życie profesjonalnym fotografom i amatorom.

Entuzjaści posiadający dostęp do coraz lepszego sprzętu fotograficznego muszą być gotowi do przechowywania tysięcy fotografii w wysokiej rozdzielczości. Rozrastająca się baza zdjęć przybiera niekiedy niebotycznych rozmiarów, liczonych w gigabajtach. Przechowanie wszystkich danych bywało dotychczas kłopotliwe, zmuszając do inwestowania w kolejne mobilne nośniki danych.

Bezpieczna kopia to podstawa

Z pomocą fotograficznym fachowcom i wziętym entuzjastom przychodzi Asustor. Oferowane przez producenta rozwiązania umożliwiają skonfigurowanie własnej chmury z natychmiastowym dostępem do zgromadzonych informacji. Za bezpieczeństwo przechowywanych plików na dysku odpowiada technologia RAID. Ponadto możemy liczyć na bezproblemowe przerzucenie kopii zapasowej na inne urządzenie lub bezpośrednio do sieci.

Jeszcze więcej przestrzeni

NAS-y wyposażono w port USB oraz przycisk odpowiedzialny za szybkie dokonywanie kopii zapasowych zdjęć z dowolnego urządzenia: aparatu, smartfona czy pendrive'a. W przypadku

rozrastającej się kolekcji zdjęć nie musimy martwić się o więcej miejsca. Dzięki funkcji MyArchive dyski pracujące w urządzeniu NAS mogą zostać zaadaptowane, jako podręczne archiwum kompatybilne z różnymi systemami plików.

Moja osobista chmura

Założenie osobistej chmury, z przypisanym indywidualnym identyfikatorem ID to kwestia zaledwie kilku kliknięć. Dzięki niej użytkownik ma dostęp do zgromadzonych danych z dowolnego miejsca na ziemi. Jedną z ważniejszych funkcji jest m.in. zdolność do przerzucania zdjęć we wskazane miejsce w sieci bez utraty ich pierwotnej jakości.

Galeria szyta na miarę

Posługując się aplikacją *Photo Gallery App*, stworzymy cyfrową galerię, którą następnie udostępnimy dowolnym osobom. Aby podzielić się albumem ze zdjęciami, wystarczy podesłać odbiorcy stosowny link. Rozwiązanie oferuje również możliwość zostawiania komentarzy przez innych, a także udostępnianie zdjęć na platformach typu Facebook czy Google+.



**panele
podłogowe**

z montażem GRATIS
na terenie całego kraju

www.swiatpaneli.com



Świat Paneli

Dziewczyny kresowe

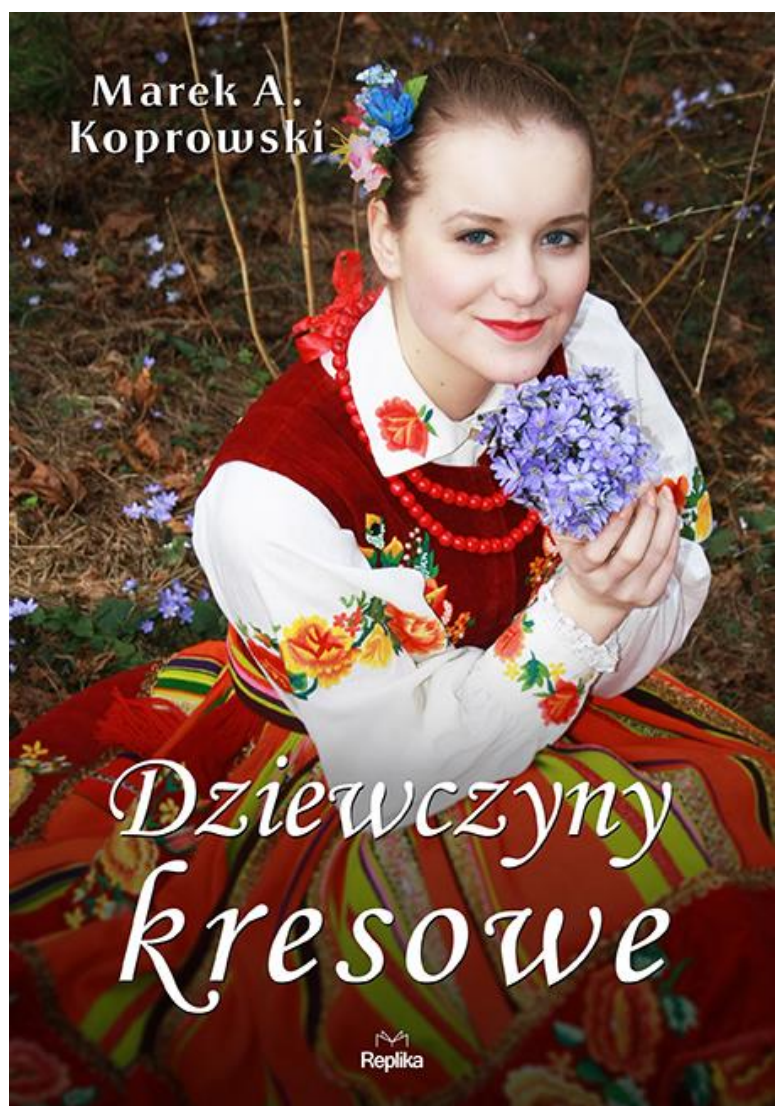
Niezwykłe świadectwo kobiet poddanych represjom tylko za to, że były Polkami

Książka zawiera wspomnienia i świadectwa kobiet wywodzących się z Kresów II Rzeczypospolitej. Ich los był typowy dla dziewcząt polskich z tych terenów. Po zajęciu Kresów przez Sowieć, jedne zostały deportowane do Kazachstanu, inne na Sybir wraz ze swymi matkami czy dziadkami. Ich ojcowie, w większości oficerowie Wojska Polskiego, dostojnicy państwowi, urzędnicy bądź policjanci, aresztowani wcześniej, już przebywali w obozach, z których zwykle nie wracali.

Unikatowy charakter mają wspomnienia Reginy Szablowskiej-Lutyńskiej. W wieku 11 lat została ona wraz z matką i dziadkami zesłana do północnego Kazachstanu. Będąc tam, prowadziła pamiętnik, zapisując w nim codziennie, w punktach, najważniejsze wydarzenia każdego dnia. To jedyne tego typu zapiski sporządzone przez polskie dziecko, zesłane na dalekie stopy. Dlatego też relacje Reginy Szablowskiej-Lutyńskiej, choć subiektywne, mają bezcenną wartość dokumentalną.

Niemniej ważne dla poznania i zrozumienia losów Polaków na Wschodzie są świadectwa tych Polek z Kresów, które z wyroku historii lub wyboru rodziców pozostały na zawsze w Rosji, na Ukrainie, w Kazachstanie lub w Mołdawii. Nigdy nie przestały być Polkami, a ich ostoją pozostał Kościół Katolicki. W jego obronie walczyły. W książce znalazły się relacje Janiny Górskiej – żywej legendy Polonii w Biłcach, Ludmiły Walewicz – działaczki polskiej z Gagauzji (Mołdawia), Antoniny Biełołus z Mohylowa Podolskiego (Ukraina), Marii Jasińskiej z Tambowa (Rosja), Zofii Sobczak z Żanaszaru (Kazachstan) i Mirosławy Jefimowej z Władywostoku (Rosja).

Oto kresowe dziewczyny, którym w trudnych czasach przyszło zdać egzamin z życia. I zdały go celująco.



Fragment książki:

Po wkroczeniu Niemców na Żytomierszczyznę za radą sąsiadów postanowiłam udać się na Wołyń, który do 1939 roku należał do Polski. Ci, którzy tam pojechali i wrócili, mówili, że tamtejszym chłopom powodziło się lepiej, bo bolszewicy nie zdążyli zapędzić wszystkich chłopów do kolchozów, a te, które udało im się założyć, zostały rozwiązane. W 1943 roku znalazłam się więc za Słuczą, która wyznaczała w tych stronach polsko-sowiecką granicę, i trafiłam do wsi koło Międzyrzecza Koreckiego. Mieszkali w niej zarówno Polacy, jak i Ukraińcy. Ja znalazłam pracę u Ukraińca, który miał duże gospodarstwo. Żyło mi się tam dobrze, bo choć ciężko pracowałam, to nie głodowałam. Jadłam razem z gospodarzami. Poza tym, co było dla mnie bardzo ważne, mogłam chodzić do kościoła w pobliskim Niewirkowie. Po kilku miesiącach sytuacja jednak uległa pogorszeniu, kiedy Ukraińcy zaczęli rżnąć Polaków. Wtedy szybko zorientowałam się, że tamtejsi Ukraińcy nienawidzą Polaków i w straszny sposób są gotowi ich zabijać. Noce rozświecwały łuny płonących polskich wsi. Początkowo nie wiedziałam, co to wszystko oznacza. Zapytałam gospodyni, co się dzieje. Ona, chcąc mnie uspokoić, powiedziała mi, żebym się nie bała, bo to tylko nasi Polaków „reżut”! Przestałam wtedy chodzić do kościoła, obawiając się, że mnie też zarżną. Gospodarze też zabronili mi uczęszczać na niedzielą mszę świętą. Nie chcieli, by otoczenie dowiedziało się, że jestem Polką. Szybko okazało się, że banderowcy w biały dzień zabili koło figury młodą dziewczynę idącą do kościoła. Strasznie ją ponoć zmasakrowali. Ja jej nie widziałam, bo gospodarze mnie nie puścili. Od tej pory przestali do mnie zwracać się „Janka”, tylko zaczęli mówić po ukraińsku „Ninka”. Ja się bałam i nie mogłam spać. Raz zobaczyłam, jak przed wieczorem gospodarz ostrzy siekierę. Przestraszyłam się nie na żarty. Myślałam, że szykuje się, by mnie zarząbać. Przypuszczałam, że należy do jakiejś bandy, bo często nocami znikał z domu. Polacy mieszkający w tej wiosce też się bali. Wieczorem zostawiali cały swój dobytek i szli spać do kościoła w Niewirkowie. Tam stali jeszcze Niemcy, więc Polacy uznali, że Ukraińcy ich nie zaatakują. Którejś nocy obudziła mnie luna. W domu gospodarzy zrobiło się jasno jak w dzień. Płonęły zabudowania sąsiadki – Polki. Mój gospodarz dostał od wodzów bandy polecenie spalenia ich. Rano, jak gdyby nic się nie stało, obudził mnie i powiedział, że pójdziemy na pole kosić pszenicę. On miał kosić, a ja ubierać i wiązać w snopki. Gdy ruszyliśmy na pole, okazało się, że idziemy na pole tej sąsiadki. Gdy zdziwiona powiedziałam o tym Ukraińcowi, ten stwierdził krótko: „Ona już tu nie wróci!”.

Na następny dzień postanowiłam wracać w rodzinne strony. Powiedziałam o tym gospodyni i ta nie protestowała. Jej mąż był zdziwiony. Oświadczył, że gdybym go uprzedziła wcześniej, to kupiłby mi obiecane buty. Przyszłam bowiem do nich na bosaka i na bosaka chodziłam. Nie chciałam jednak czekać na te buty, wzięłam, co mi dała gospodyni, i ruszyłam w drogę. Gospodyni dała mi bochenek chleba i materiał na dwie sukienki. Upakowałam to do węzła i poszłam w stronę Korca, za którym przebiegała dawniej polsko-sowiecka granica.

Zanim dotarłam do końca wsi, na skraju lasu dogonił mnie zdyszany gospodarz i udzielił ostatnich instrukcji. Powiedział mi, żebym nikomu nie przyznawała się do tego, że jestem Polką, i wszystkim mówiła, że jestem prawosławną Ukrainką. Przez kilka minut uczył mnie, jak mam się żegnać, żeby udawać prawosławną. Poinstruował mnie także, że gdyby kazali mi się modlić, to mam mówić, że w mojej wsi bolszewicy

zniszczyli cerkiew i nie nauczyłam się modlić. Ostrzegł mnie, że jeśli przyznam się, że jestem Polką, to oni będą mnie strasznie męczyć! Widocznie był świadkiem, jak członkowie jego bandy torturowali Polaków, i nie chciał, bym zginęła w męczarniach. Może ruszyło go sumienie, a może bał się, że jak mnie złapią, to torturowana przyznam się, że u niego pracowałam, i będzie miał kłopoty z tego tytułu, że mnie nie zarębał. Poradził mi on również, jak najprościej dotrzeć na drogę prowadzącą na Korzec. Miałam dojść do Niewirkowa, za kościołem skręcić w prawo i pójść traktem wzdłuż cmentarza. Tak zrobiłam, ale jak trafiłam na cmentarz, to się przeraziłam. Stały na nim sterty trumien, których nie miał kto pochować. Ludzie zwozili je furmankami z trupami pomordowanych przez Ukraińców Polaków, a grabarze nie nadążali z kopaniem dla nich grobów. Trumny te były w większości prymitywne, zbite z desek. Niektóre bardziej przypominały skrzynie niż trumny. W każdej z nich złożono po kilka porąbanych ciał. To był straszny widok. Ja, stale się modląc, pomaszerowałam dalej do Korca, odległego od Niewirkowa o jakieś dwadzieścia pięć kilometrów. Przed wieczorem dotarłam do tego miasta. Wzruszyłam się, gdy na ulicach usłyszałam polską mowę i zobaczyłam kościół, ale już się nie zatrzymywałam. Gdy znalazłam się za Korcem, dosłownie padałam z nóg. Przy drodze stała jakaś chatka, do której zaszłam i po ukraińsku zapytałam gospodarzy, czy mogę u nich przenocować. Ci zapytali, skąd idę. Odpowiedziałam, że z zachodniej Ukrainy. Wtedy ożywił się jakiś staruszek siedzący przy piecu, pewnie ojciec gospodarza. „Tam Lachów palą!” – powiedział. „Ja tam nic nie wiem” – odpowiedziałam, nie chcąc podejmować tematu. Nie wiedziałam bowiem, do kogo trafiłam. Szybko okazało się, że zrobiłam bardzo dobrze, bo ten staruszek zaraz dodał: „Bardzo dobrze, że palą Lachów, ja bym ich sam za noc zarżnął ze stu pięćdziesięciu”. Znowu się przeraziłam. „Boże wielki! – pomyślałam. – Gdzie ja trafiłam, teraz mnie na pewno zarżną”.

Fragment wspomnień Janiny Całko Zaczęli rżnąć Polaków

INSTYTUT
ORIENTALISTYKI
KATEDRA
ARABISTYKI



UNIWERSYTET
JAGIELLOŃSKI
W KRAKOWIE

Słowiańszczyzna a świat arabski: wzajemne relacje:
literatura – język - historia
Kraków, 23-24 maja 2017
Slav and Arab World: Mutual Relations: Literature –
Language – History
Kraków, 23-24 May, 2017
السلافية والعالم العربي: العلاقات المتبادلة: أدبا – لغة –
تاريخا
كراكوف، 23-24 مايو/أيار 2017



KUCHNIA POLSKA

tradycja - smak - współczesność

Zachwycająca kombinacja smaku
i tradycyjnej polskiej sztuki kulinarnej



Zapraszamy do Restauracji Ibiza

ul. Główna 100, Ludwikowice Kłodzkie, tel. 746604001